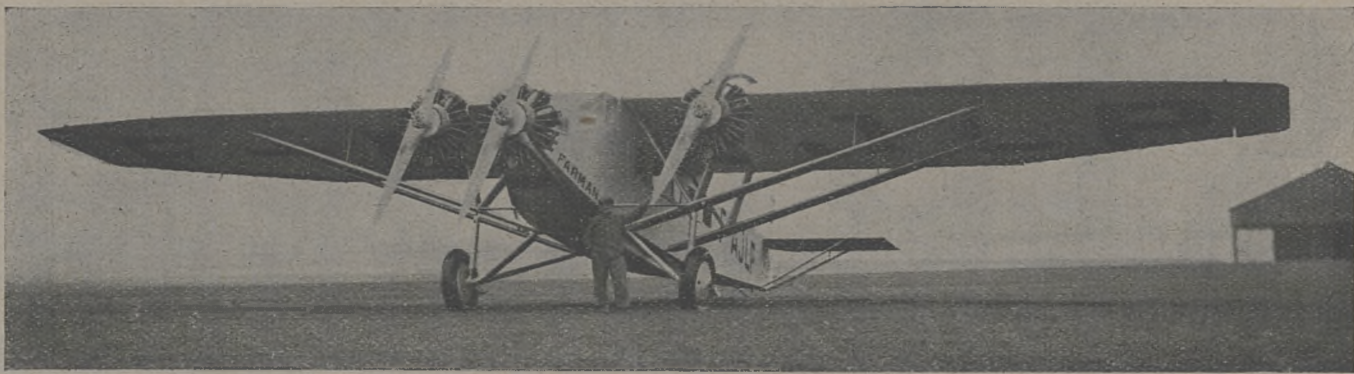
Sternik

dwutygodnik
dla młodych
Warszawa

ROK II Nr. 10 25-go MAJA 1930 R. CENA 50 GROSZY.



Niebezpieczeństwo przyszłej wojny lotniczej największy samolot wojskowy typu Caproni 90 P.B. o łącznej sile 6000 KM.



Francuski płatowiec pasażerski „F 300“

LOTNICTWO A MŁODZIEŻ

Byłoby rzeczą śmieszną przekonywać ludzi oświeconych, że chcąc rozwinąć jak najbardziej lotnictwo, nie wystarczy zajmować niem tylko ludzi dorosłych, a trzeba również zainteresować niem młodzież. Ale jest rzeczą bardzo poważną zastanowienie się, w jakim zakresie można i należy absorbować lotnictwem nieletnich, szczególnie zaś, czy i jak robić to w szkole.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego kilkoma okólnikami zaleciło podwładnym sobie organom oświatowym popieranie zainteresowania młodzieży szkolnej lotnictwem. Jednakże ,,lotnictwa", jako odrębnego przedmiotu, ze zrozumiałych względów niema w programie naukowym szkół niższych i średnich.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, popierając akcję lotniczą na terenie szkolnym, zaleciło pogadanki, odczyty, pokazy, książki, czasopisma i t. d., z któremi do szkół idzie Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

Więc lotnictwo wchodzi do szkół w zakresie szerszym, aniżeli ten, jaki mieści się w normalnym programie nauki szkolnej.

Młodzież musi być zajmowana lotnictwem w szkole dlatego, że poza szkołą nie osiągniemy takiego stopnia zainteresowania, któryby zapewnił nam w przyszłości wolny byt i dobrobyt.

Nie trudno jest przekonać się, że nieudzielenie dorastającemu pokoleniu i następnym tych zainteresowań, byłoby występkiem.



Dyrektor Zarz. Gł. L.O.P.P. p. Władysław Baliński

Lotnictwo, jako wielka dziedzina życia naszego, obejmująca mnóstwo różnorodnych zjawisk, nie może być w całokształcie przedmiotem normalnych studjów szkolnych.

Szkoła w innych przedmiotach swego programu daje dużo wiadomości, które są nieodzowne dla studjów specjalnych i dla pracy w tej dziedzinie. Bezpośrednie zetknięcie się ucznia z lotnictwem w szkole powszechnej i średniej podczas nauki, może odbywać się dosyć często, gdy nauczyciel, albo autor podręcznika czerpią przykłady z dziedziny lotnictwa. Może to mieć miejsce np. w zadaniach matematycznych, w fizyce, geografji i wielu innych przedmiotach. Naprzykład nowe wydanie podręcznika fizyki prof. Sianożęckiego zawiera już pewne wiadomości o płatowcach.

Poza tem w niektórych szkołach spotykamy się z lotnictwem w nauczaniu robót ręcznych. Uczniowie robią modele samolotów. Ten dział może być znakomicie rozwinięty z wielkim pożytkiem dla naszego państwa.

Uzasadnijmy wpierw to twierdzenie, a potem przekonajmy się, że zrobić to może w obecnych warunkach **tylko szkoła.**

Polska odzyskała niepodległość przed 11-u laty.

Lotnictwa wtedy nie miała. Inne kraje miały je; niektóre nawet bardzo silnie rozwinięte.

Jesteśmy w jego rozwoju spóźnieni i nie nadążamy za innymi.

Dzieje się tak również wskutek tego, że niedoceniamy lotnictwa. Za mała jest świadomość, jak wiele w życiu naszem zależeć będzie od lotnictwa.

Polska pod względem obrony swej znajduje się w nadzwyczaj niekorzystnych warunkach, jeśli chodzi o jej granice lądowe i morskie.

Inaczej zupełnie ma się rzecz z naszem powietrzem. Nie

jest ono wcale gorsze, niż gdzieindziej. A pod niem? Świetny ląd: wielkie polskie lądowisko dla samolotów.

To lądowisko stać się musi kiedyś centralnem lotniskiem europejskiem, leży bowiem na wielkich międzynarodowych szlakach powietrznych rozmaitych kierunków. Zatem i względy gospodarcze nakazują nam pośpiech.

Od rozwoju lotnictwa zależy nasz dobrobyt, wolność gospodarcza i polityczna. O tem muszą wiedzieć wszyscy nasi obywatele i to jak najprędzej, bo dopóki cały naród nie będzie tak myślał, dopóty nie zapewnimy naszemu lotnictwu warunków do najlepszego rozwoju.

Prowadzi się propagandę, robi ona swoje, ale nie jest łatwo przekonać parę dziesiątków miljonów obywateli. Żyli przecież bez lotnictwa tyle czasu, żyją i nie korzystają z niego szeroko w życiu codziennem. Obywatele (mówię o masie) nie mają wielkiej ochoty słuchać o tem. Ciężkie są czasy. Pracują, a potem odpoczywają. Ciężkie warunki gospodarcze, brak możności zaspokojenia wielu potrzeb, redukcja potrzeb, szczególnie duchowych, upadek zainteresowań intelektualnych i t. d., wszystko to sprawia, że propaganda u nas nie robi tych postępów, nie daje tak szybkiego efektu, jaki osiągałaby w korzystniejszych warunkach społecznych.

Lecz jakiekolwiek byłyby postępy ogólne propagandy, mysimy dążyć wytrwale, energicznie i szybko do zapewnienia Polsce rozwoju lotnictwa przez naszych następców — dzisiejszą młodzież. Tem bardziej czynić to musimy, że warunki, o których przed chwilą wspomniałem, pozostawią tym następcom ciężar odrabiania naszego opóźnienia.

Nie po to rwał się człowiek wgórę przez długie wieki, nie po to na schyłku XIX-go stulecia uleciał w powietrze, a następnie osiągnął wysokość 12-tu kilometrów, szybkość przeszło 500 km. na godzinę, trzymał się w powietrzu bez silnika 14 godzin, latał nie lądując 10 dni; nie po to buduje się płatowce na 200 pasażerów, mogących wygodnie sobie spać, aby potem to wszystko raptem rzucić, machnąć ręką, zrezygnować z nieobliczalnych korzyści, jakie lotnictwo dać musi w przyszłości.

Czy wielu mamy obywateli, którzy zastanawiają się nad tem?

Rozwijajmy w młodzieży ducha lotniczego, a wytworzymy ,,zmysł powietrza" w całym narodzie.

Gdy dzieci nasze, a przynajmniej dzieci naszych dzieci, będą szły do klasy wstępnej, do I-go oddziału szkoły powszechnej z tak rozwiniętym ,,zmysłem powietrza", jaki ma dzisiaj ,,zmysł morza" mały Anglik, wtedy będziemy spokojni, wtedy rzecz będzie dalej sama szła.

A któż to wychowa takie dzieci?

Niejeden nasz obywatel oświecony nie udzieli dzieciom swym zainteresowania do lotnictwa, przeciętny obywatel — tak samo nie każdy, a miljony wieśniaków? Miljony dzieci wiejskich muszą mieć ten zmysł także!

Dlatego to L. O. P. P. zwróciła się do nauczycielstwa i młodzieży. Nie rezygnując z pozyskiwania dla lotnictwa każdej warstwy społecznej, każdej jednostki, w zrozumieniu, że bez zainteresowania młodzieży i dzieci nie będzie Polak człowiekiem powietrza.

Gdy każdy młody, mieszczuch, czy wieśniak, każda dziewczynka, dziecko człowieka oświeconego, czy analfabety, słyszeć będzie w powietrzu, jak się to dzieje i po co, tedy nasiąkać będzie duchem lotniczym tak, że się go już nie pozbędzie, a później? Później będzie swoim dzieciom to przekazywać już w okresie przedszkolnym.

Celem propagandy lotnictwa w szkołach jest wśrubowanie w psychikę młodych pokoleń pierwiastka lotniczego, zapędzenie tego pierwiastka do najgłębszych komórek ducha, całkowite opanowanie jaźni.

Nowy duch lotniczy! Nowy zmysł powietrza!

Dlatego lotnictwu należy się przywilej w szkole.

Idee lotnicze krzewi Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Ona wznieca zainteresowanie się lotnictwem, zamiłowanie doń, zapał.

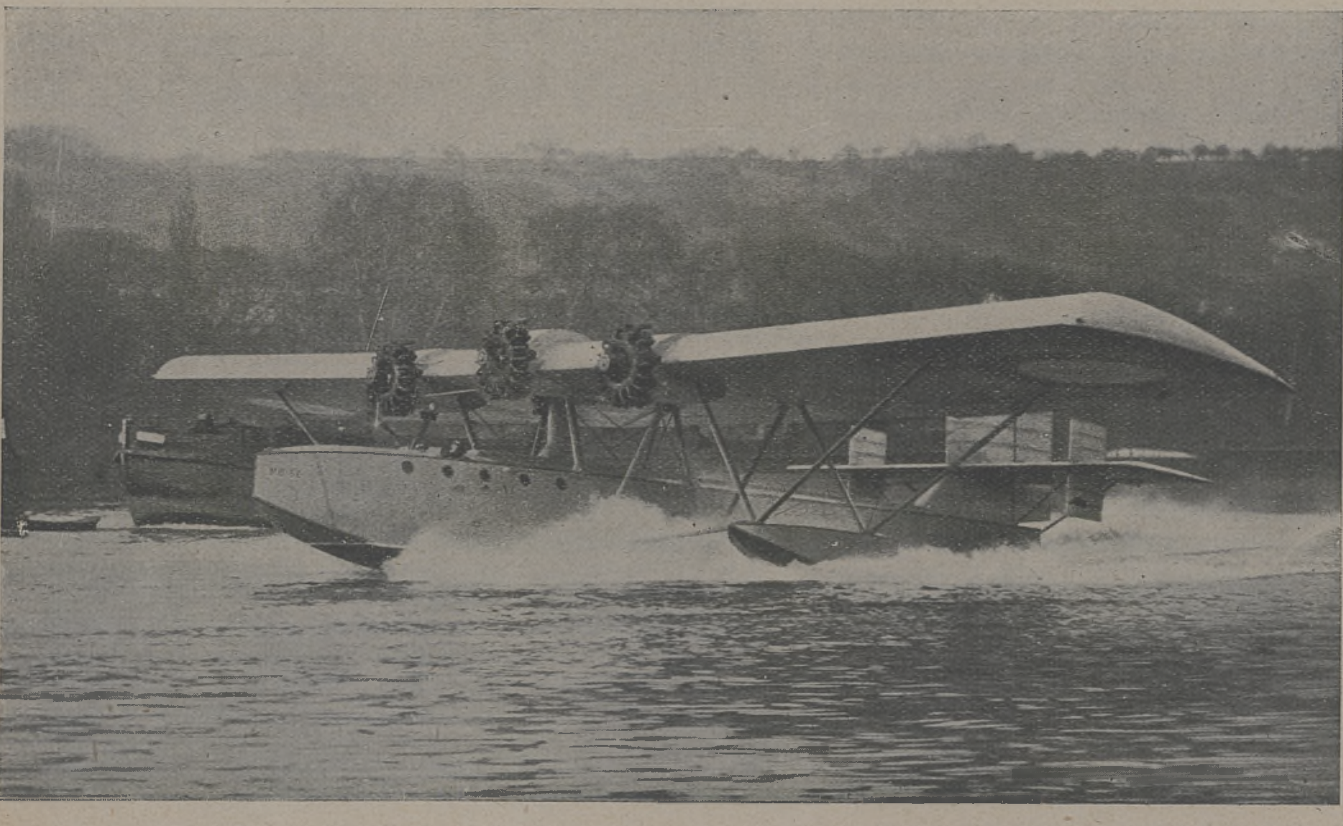
L. O. P. P. tworzy koła szkolne, wydała regulamin dla tych kół i program prac; zaopatruje szkoły powszechne i średnie w biljoteczki lotnicze, w tablice i rysunki lotnicze, w tani sprzęt modelarski, urządza kursy instruktorów modelarstwa, organizuje zawody modelarskie z nagrodami, t. zw. konkursy modeli latających — szkolne, międzyszkolne, wojewódzkie i ogólnokrajowe; L. O. P. P. kompletuje przezrocza, wydaje do nich katalogi, tworzy filmy, urządza lotnicze poranki szkolne i t. p.

Liga obniżyła składkę dla młodzieży szkolnej do 10 gr., młodzieży.

Liga obniżyła składkę dla młodzieży szkolnej do 10 gr. miesięcznie, a sama łoży spore fundusze na akcję szkolną.

Obecnie chodzi nam o to, żeby cała młodzież pojęła cele L. O. P. P. i zapisywała się gromadnie w jej szeregi.

Władysław Baliński



Hydroplan typu Besson 36 w czasie startu

WŁADYSŁAW ORKAN
(Franciszek Smreczyński)

W tych dniach zmarł nagle w Krakowie zeszłoroczny laureat nagrody literackiej miasta Warszawy Władysław Orkan (Franciszek Smreczyński).

Urodzony dnia 27 listopada 1876 roku w Porębie Wielkiej na Podhalu, jako syn ubogiego gazdy kształcił się w Krakowie, gdzie też ukończył wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Większą część życia Władysław Orkan spędził w swych stronach rodzinnych, na Podhalu, skąd wyrwała go zawierucha wielkiej wojny, w czasie której odbył całkowitą kampanję z 4 pułkiem piechoty Legjonów (pięknie opisaną potem w książce p. t.: „Drogą Czwartaków").

Początki twórczości literackiej Władysława Orkana posiadają charakter wybitnie społeczny.

Tragiczne warunki w jakich znajdowała się w owych czasach ludność podkarpacka, jej nędza i ciemnota tak dobrze znane autorowi musiały wywrzeć wielki wpływ na jego dzieła.

Pierwszy okres twórczości naszego autora, przeważnie nowelistyczny (Nad urwiskiem, Herkules nowoczesny i inne) ściśle jest związany z niedolą ukochanych przezeń „krajanów". Pełen współczucia odmalowuje Orkan z całą właściwą mu żywiołowością realistycznie, często nawet tendencyjnie, życie górali i rzuca społeczeństwu oskarżenie: wszędzie triumfuje niesprawiedliwość i przemoc.

Jest to zarazem okres walki autora z samym sobą o styl i mowę swych utworów. Orkan waha się między wyborem gwary, a języka literackiego.

Powoli jednak zatriumfował nad wszystkiem artysta.

Niezmiernie silna indywidualność twórcza pozwoliła temu bezsprzecznie największemu piewcy Podhala stworzyć swój własny język i styl — te niezmierne wartości, które tak oczarowują każdego czytelnika „W roztokach" i „Drzewiej".

Przy sposobności chciałbym zanaczyć jedną jeszcze właściwość stylu Władysława Orkana, oto nie jest on bynajmniej płynny, potoczysty, przeciwnie robi wrażenie mozolnie, z trudem skuwanych i doszlifowanych pracowicie ogniw. Przypomina ludową sztukę góralską ich pracowicie-artystyczne rzeźby.

Cały dorobek literacki Orkana prócz piętna talentu nosi na sobie i to charakterystyczne piętno nieustannej, nadludzkiej nieraz pracy.

Te jednak dążenia ściśle artystyczne nie oderwały autora od ludu Podhala. Do ostatnich chwil był mu on natchnieniem. O nim wyśpiewał swą przepiękną epopeję prozą „Drzewiej", a choć według twierdzeń prof. Aleksandra Brücknera posługiwał się Orkan (zresztą jak i wszyscy na ten temat piszący literaci) zmyśloną przez lud i poetów mitologją, to jednak utworowi jego nie przynosi szkody.

Być może, że nie istnieli: Niega Dziedzilja i Pochwist, ale kiedy nam ich tak pięknie opisano, zachwycamy się niemi nie zastanawiając się nad tem, czy bogowie ci znani są rzeczywiście w mitologji, czy dopiero zaczęli istnieć w fantazji poetów.

W związku z dawnemi bogami trzeba jeszcze zastanowić się nad stosunkiem Władysława Orkana do przyrody. Otóż i tu potrafił autor znaleźć swój specyficzny punkt widzenia. Idąc po linji wytkniętej w tym kierunku przez Dygasińskiego potrafił Orkan zająć stanowisko idywidualne. Nie stara się sądzić przyrody umysłem ludzkim, ani nie wyśpiewuje jej hymnów pochwalnych, lecz znając ją bardzo dokładnie opisuje ją w sposób realistyczny. Pokazuje nam przyrodę taką, jaka jest w rzeczywistości, bez żadnych sądów i komentarzy. Pozwala każdemu widzieć w danym opisie to, co robi na nim największe wrażenie.

Główną jednak zasługą Władysława Orkana jest to, że on pierwszy wprowadził prawdziwych górali do literatury polskiej. Bo należy zaznaczyć, że „Na skalnem Podhalu" Kazimierza Przerwy-Tetmajera to poezja gór, a powieści Orkana to proza. A poezja tem właśnie różni się od prozy, że więcej w niej jest fantazji, podczas gdy w prozie więcej jest realnej prawdy. Ta realna prawda postaci i życia górali stanowi ogromną wartość utworów Orkana. Niektóre z nich (zwłaszcza ostatnie „Listy ze wsi") są niezmiernie cenne z punktu widzenia społecznego.

Wszechstronny talent Władysława Orkana pozwalał mu pracować nie tylko w dziedzinie powieściopisarskiej, pisał on również utwory dramatyczne, oraz wiersze wykazując we wszystkich tych kierunkach niepospolite zdolności, oraz ogromną energję twórczą.

Dziwne się wobec tego może wydawać, że mimo wielkiej skali twórczości i mimo skrzętnej pracowitości tak mało społeczeństwo interesowało się Władysławem Orkanem. Niestety, tak było. Orkan był uznany jako twórca, ale zupełnie prawie nie jest znany. Nawet zeszłoroczna nagroda m. Warszawy nic nie zdołała zmienić.

Bardzo to smutne, że społeczeństwo rozczytujące się w najróżniejszych miernotach zalewających falami rynek księgarski tak małe okazuje zainteresowanie czołowemi twórcami swego kraju.

Może dziś w obliczu śmierci potrafimy się jednak otrząsnąć z tej karygodnej obojętności i nie pozwolimy ginąć w zapomnieniu temu, który mimo wielkiej i nieustannej pracy dla narodu nie zdołał pozyskać należnej popularności i miłości.

Michał Ochorowicz

OCZY NA WSCHÓD

Zrozumiała i usprawiedliwiona troska o nasze granice zachodnie, stanowiące nieustanny przedmiot chciwości naszych sąsiadów nie może zasłonić przed nami zadań kulturalnych i politycznych, jakie nam nasuwają olbrzymie połacie krajów, rozciągające się poza wschodnią naszą rubieżą. Wręcz przeciwnie właśnie konieczność utrwalenia owej granicy zachodniej zmusza nas do pozytywnego rozwiązania tego problemu.

W stosunku do Niemców położenie nasze jest i będzie zawsze położeniem ochronnem. Takie już są nakazy geograficznej konfiguracji Europy, owego olbrzymiego półwyspu, zwężającego się coraz bardziej ku południo-zachodowi, aby zakończyć się ostrzem u przylądka Gibraltarskiego. One to sprawiają, że ludy osiadłe, zorganizowane na pewnem określonem terytorjum, czują silniejszą tendencję ekspansywną w kierunku wschodnim, aniżeli zachodnim: Francja, kończąca się jeszcze w XV wieku na linji Saôny i Rodanu bardzo szybko dotarła do Renu i Alp. Germanowie z nad Łaby posunęli się poza Odrę, niszcząc słabe plemiona słowiańskie, Polska historyczna ogarnęła obszary pięciokrotnie przewyższające

obszar Polski etnograficznej, a wszystkie one leżały **wyłącznie na wschód** od tej ostatniej. W przeciwnym kierunku biegły najazdy ludów koczowniczych, słabo powiązanych z pojęciem terytorjalnej ojczyzny, Wandalów, Hunnów, Awarów, Tatarów... najazdy nagłe jak zaraza, ale krótkotrwałe. Ten sam niestały, można się wyrazić **nieorganizacyjny**, charakter nosi skierowany całkowicie, lub częściowo na zachód napór państw, które choć zorganzowane politycznie, na pewnem określonem terytorjum zachowały pewne cechy azjatyckiej koczowniczości, jak Turcja, potem Rosja.

Tem niemniej — podkreślamy — naturalna ekspansja rozwojowa narodów europejskich kieruje się zdecydowanie na wschód, póki rzecz oczywista, nie natrafi na organizm narodowo-państwowy dość silny, aby jej położyć tamę. Jest rzeczą więcej niż wątpliwą czyby Francuzi kiedykolwiek przekroczyli linję Renu, nawet gdyby nie wchodziło w grę śmiertelne osłabienie ich ekspansji, wskutek braku przyrostu naturalnego. Niemcy pochłonęli Obotrytów i Łużyczan, ale się zatrzymali na odporniejszych organizacjach Polaków i Czechów. Mimo trzywiekowej niewoli narodu czeskiego, mimo rozbiorów Polski, dalszy pochód germańszczyzny okazał się iluzoryczny i dzisiejsza linja demarkracyjna między germańszczyzną, a słowiańszczyzną, linja etnograficzna, kulturalna, polityczna, nie odbiega wiele od linji z wieku XIV, kiedy to owe różnice wyraźnie się zarysowały.

Ale naród niemiecki, obdarzony jeszcze dużym zasobem energji ekspansywnej nie zrezygnował dotąd z dalszego pochodu na wschód i kwestją jedynie naszej odporności i naszej siły państwowej jest, aby jaknajprędzej zdał on sobie sprawę z beznadziejności tego pochodu i pogodził się z istniejącym stanem rzeczy. Dziś jednak my ze swej strony musimy rozumieć, że nasza ewentualna ekspansja na zachód jest nierealną fikcją, że na tym odcinku jesteśmy ograniczeni do defensywy i że musimy korzystać z każdego roku pokoju, aby ten pokój, a wraz z nim **status quo** na zachodniej granicy utrwalać.

Jednakże społeczeństwo młode, żywe, pełne przyszłości przed sobą nie może się tylko do defensywy ograniczać. Zatrzymane murem w jednem miejscu musi szukać gdzieindziej ujścia dla swej żywotności. Inaczej zwiędnie, straci siły i samo stanie się podatniejsze do uległości przed ekspansją obcych żywiołów. Musimy przecież czerpać skądś te soki, które ożywiać będą nasz odcinek obronny, aby być przedpolem olbrzymiej potęgi, a nie bohaterskim, lecz beznadziejnie odciętym od świata bastjonem.

I tu my Polacy znajdujemy się w szczęśliwszem od wielu innych narodów położeniu, że dla naszej ekspansji wschodniej otwiera się pole nieograniczonych możliwości. Martwimy się nieraz, że nasza struktura polityczna zawiera tyle pierwiastków pozapolskich i że wskutek tego nie jesteśmy zdolni do wytworzenia zwartej i skonsolidowanej społeczności. Ale czy zamiast stwierdzać ze smutkiem ten fakt nie byłoby lepiej, gdybyśmy wykorzystali ten stan rzeczy, który może nam w znakomity sposób ułatwić naszą ekspansję kulturalną i polityczną. Nie róbmy gwałtem Polaków z tych, którzy Polakami nie są. Państwu naszemu wystarczy, żeby byli w miarę życiowych możliwości szczęśliwymi, a co zatem idzie lojalnymi względem Rzeczypospolitej obywatelami. Ich ambicje polityczne, ich tęsknoty narodowe można — z pożytkiem dla naszej ekspansji — skierować ku ich współplemieńcom z poza kordonu, którzy ciążyć będą do tej Rzeczypospolitej, co umiała zapewnić ich braciom wolność i dobrobyt. I nietylko oni, ale wszelkie ludy zamieszkujące, olbrzymie tereny wschodniej Europy. Boć musimy sobie zdać sprawę z tego, że możliwości naszego rozprzestrzeniania się na wschód (mówię cały czas oczywiście wyłącznie o możliwościach ekspansji kulturalnej i pokojowo-politycznej, a nie o wojnie i aneksji) są dlatego tak wielkie, że poza naszą granicą istnieje ciągły ferment, że formy polityczne nie przybrały tam ostatecznego wyrazu, że w bólu i męce krystalizują się świadomości narodowe, że jęczą w niewoli narody o starej i chlubnej tradycji historycznej, które jak w Mekkę wolności wpatrzone są w daleką — ale najbliższą im z pośród państw wolnych i cywilizowanych — Rzeczpospolitą Polską.

Od nas samych, od utrzymania naszego wpływu na te narody rozsiane między Dźwiną, a morzem Kaspijskiem, zależy czy w chwili, gdy wrzący kocioł zastygnie, na wschodniej naszej rubieży wyrośnie mur, taki sam mur, jaki my dziś budujemy nad Odrą i Wartą, czy też przeciwnie Polska zaprzoduje wielkiej unji wolnych narodów. Jest to zagadnienie nietylko tendencyj mocarstwowych, jakie musi żywić każde Państwo godne niepodległości, ale zagadnienie naszego bezpieczeństwa, przedewszystkiem od zachodniej granicy. Boć w razie czego Rzesza nie tak chętnie podejmie kroki nieprzyjacielskie przeciwko Polsce, poza którą stać będzie pół wschodniej Europy, jak przeciwko Polsce osamotnionej, otoczonej zawiścią i niechęcią sąsiadów, toczonej u wschodniej granicy groźną irredentą.

Od lat paru Rzeczpospolita Polska wkroczyła na drogi pokojowej ekspansji wschodniej, o której mówimy w dzisiejszym artykule. Pierwszy etap, etap może najtrudniejszy to zjednanie i przywiązanie do Rzeczypospolitej jej własnych obywateli niepolaków. Trzeba tu naprawić błędy minionych lat, zwalczyć nieufność obcego i krótkowzroczność własnego społeczeństwa i agitację państw ościennych. Jednocześnie zdobywa się zaufanie sąsiadów, tych których przyjaźń cenniejszą jest dla nas, aniżeliby na to wskazywała waga polityczna tych krajów. A więc w pierwszym rzędzie państwa Bałtyckie, następnie Rumunja. Zlikwidować musimy za wszelką cenę zadawniony, a umiejętnie podsycany przez obce agentury spór z Litwą. Wpływy nasze polityczne i gospodarcze u ujścia Niemna, mają dla zagadnienia naszego morza znaczenie pierwszorzędne i dlatego warto dla nich ponieść pewne pozornie nawet bolesne ofiary.

A wreszcie... przebywa w Polsce, w wojsku, na uczelniach, przy skromnych bardzo zajęciach spora ilość emigrantów z Ukrainy, z Gruzji, Północnego Kaukazu, Krymu. Otoczmy ich przyjaźnią i szacunkiem, aby kiedy wrócą kiedyś do oswobodzonej ojczyzny, z wdzięcznością mogli wspomnieć czasy spędzone na wygnaniu w Polsce. W ten sposób każdy w skromnym zakresie może stać się czynnikiem polskiej ekspansji. A przedewszystkiem jeżeli znajdziemy się w okolicy o ludności niepolskiej starajmy się zwalić mur wzajemnej nieufności. Zapominajmy krzywd, aby nam je zapomniano, bo nie łudźmy się że są one tylko po drugiej stronie. Starajmy się wyrobić u każdego przekonanie, że Polska jest jedną Ojczyzną dla Polaka i niepolaka i że nie zna różnic między obywatelami byle jej tylko lojalnością odpłacali.

I tak, nieznacznie, mrówczo, z oczyma na Wschód patrzącemi skuteczniej, niż przez proklamacje, wiece i pochody, budować będziemy moc Rzeczypospolitej i strzec zachodnich jej granic.

Witold Sieniawski

FRIDTJOF NANSEN

„Zmarł tu w wieku lat sześćdziesięciu trzech, wielki podróżnik, zwycięzca lodów bieguna północnego, Fridtjof Nansen", — doniosły dnia 13-go maja 1930 roku depesze ze stolicy norweskiej, Oslo.

I smutna wieść pojękiem drutów telegraficznych objęła cały świat... — Pamięt my jeszcze bodaj wszyscy, jak mocno biły nam serca w dniach niefortunnej wyprawy generała Nobile, jak wszystkie nasze uczucia były przy heroicznym, wielkim Amundsenie, który poszedł, skoro tylko ludzkiemu życiu groziło niebezpieczeństwo. Nie zwracał uwagi na to, że jego własne może zgasnąć, wśród lodowatych wichrów podbiegunowych.

Łączę tak te dwa wspomnienia, bo Fridtjof Nansen i Roald Amundsen to dwaj duchowi bracia Obydwaj gotowi byli w każdej chwili do poświęcenia własnego istnienia, aby tylko posunąć naprzód sprawę wojującej z żywiołami ludzkości. Stali na czele armji, nielicznej coprawda, ale streszczającej w sobie właściwy ludziom pęd do zdobywania. Nie tego najprostszego, w walce z nieznanym żołnierzem. Pęd najwyższy, najszlachetniejszy — zwrócony ku siłom, od ludzkich silniejszym.

A jednak zastępy szły i ich hetmanem był Nansen.

Największa jego podróż przypada jeszcze na koniec ubiegłego stulecia. Dotarł wtedy do 86 stopnia i 10 minuty szer. płn. i 95 st. dł. wsch. od Greenwich. Bez balonów, samolotów, bez setki znanych dzisiaj przyrządów. Przebojem, mocą swego trzydziestoletniego, męskiego zapału, wolą napiętą i przekonaniem mocnem, że kto **chce** — ten zawsze **może.** Nikt i nigdzie nie wyciosał sobie takiego hartu ducha i charakteru, jak Nansen wśród przerażającej ciszy i śmiertelnej jedności lodów. Właśnie w tej okropności był dla niego bodziec do zwycięstwa. Im groźniejszy przeciwnik, tem większy honor go pokonać.

Wartość jego zdobyczy posiada oprócz tych cech, o znaczeniu emocjonalnem i moralnem, zupełnie określony charakter odkryć naukowych. Zarówno przyroda, jak geografja, jak geologja, zyskują nowe dane w spostrzeżeniach znakomitego podróżnika, idącego z ciągłem narażeniem życia naprzód, na wrogą, oporną północ.

W roku 1894 skończono budowę specjalnego okrętu dla podróży podbiegunowych i nazwano go „Fram". W tym samym roku cała wyprawa (Nansen i dwunastu towarzyszów) wyruszyła na zdobywanie głównego bastjonu świata: bieguna. I była w drodze trzy lata! Lata posępne, długie i zimne, pełne nieustannej walki z żywiołem, pełne załamań psychicznych i nieoczekiwanych przeszkód.

Tyle czasu tułaczki po bezludnych, szarych wyspach lodowych, wśród ponurego krajobrazu arktycznego. Najlepiej opowiadają nam o trudach podróży lakoniczne strony dziennika nansenowskiego. Może dlatego najlepiej, że tak są niewyszukane, tak niewspinające się na patos, te słowa zdobywcy. Poza literami, wyrazami i zdaniami stoi niespożyta zasługa wobec kultury i ludzkości, stoi mocarz, który woli i mięśniom rozkazywał w najtragiczniejszych chwilach — i zwyciężał. Poprostu: veni, vidi, vici. Czy na tle bezmiarów i zmagań się człowieka z nieobjętą pustynią śmierci, te najzwyklejsze słowa nie nabierają siły zwolna toczących się gromów?

Jak bardzo blade są wobec tego najbardziej wyszukane i dźwięczne zwroty czynu, niech nas przekonają fragmenty z dziennika.

„14 marca 1897 roku w południe opuszczamy ostatecznie „Frama" (t. zn. Nansen i jego przyjaciel Johansen).. kilku z naszych (towarzyszów) odprowadza nas i pomaga ciągnąć sanki".

„Lód z początku gładki i jednolity staje się wkrótce pogięty i połamany. Dla przejścia rozmaitych wyniosłości musimy dość długo nieść sanie. Wielka to praca i wystawia siłę i cierpliwość naszą na ciężką próbę. Niemniej nie mamy powodu martwić się: zrobiliśmy dzisiaj siedem mil".

„Dziś przejechaliśmy dziewięć mil". Siłę tego zdania zobaczymy, jeśli zwrócimy uwagę na to, że pierwszego dnia, gdy byli bardziej wypoczęci, zrobili tylko 7 mil (A i los bywa złośliwy. Np. 18 marca „igła lodowa przebiła nam worek rybiej mąki i drogocenna żywność zaczęła się sypać na ziemię. Zmarnowaliśmy przeszło godzinę czasu, aby zebrać wszystko i zaszyć worek".

Idzie się krajem falistym, gdzie lody, ściśnięte w ciągu swojej bezwolnej podróży od Syberji na Grenlandję, wyglądają, jak pokryte śniegiem pagórki. A temperatura wynosi... 42 stopnie poniżej zera!

20 marca.

„Wczoraj zgubiliśmy przyrząd do mierzenia drogi. Na poszukiwania musieliśmy zużyć kilka godzin. A więc trzeba się będzie obejść bez niego i obliczać przestrzeń „na oko". Tego samego dnia zachorował ciężko jeden z dwudziestu ośmiu psów. Trzeba go zabić. Ale bracia **jeszcze** go nie pożerają. Niedługo jednak czynić to **już** będą. Za kilka dni rozerwą w sztuki upadłego z wyczerpania niewolnika zaprzęgu i ludzkich ambicyj".

22 marca.

„Przeszliśmy już 85 stopni szerokości północnej. Niebo jest jasne, a mróz straszny. Dziś jest jeszcze zimniej, wskutek chłodnego wiatru północno-wschodniego. W dzień odzienie nasze pokrywa się lodowym pancerzem. Wieczorem, rozgrzani w worach do spania, przesiąkamy wilgocią".

(Notatka ta posiada napewno więcej siły niż niejedna „bohaterska" oracja!).

24 marca.

„Długa to i niebezpieczna praca (przenoszenie sań), co chwila można upaść i złamać rękę lub nogę".

Potem jest coraz gorzej. Od twardych, zamarzłych ubrań robią się rany na ciele. Specjalnie zaś na rękach. Blizny zostają na całe życie. Gdy idą spać, przytulają się do siebie bardzo mocno i dopiero po półtorej godzinie ubranie roztaje nieco. Mimo tych cierpień idzie się naprzód, dalej i ma się nawet czas widzieć, że:

„Dla psów cała ta podróż jest od początku do końca długiem i powolnem cierpieniem". Widzieć to i odczuć dolę biernych, zmuszonych do heroizmu, zwierząt w tak ciężkich dla siebie okolicznościach dowodzi, jak wielkie i dobre serce miał Nansen.

8-go kwietnia, osiągnąwszy dnia uprzedniego 86 st. 10 min. szer. płn., wracają. W drodze do „Frama" Nansen zmuszony jes pływać w lodowatej wodzie, goniąc porwane przez prąd kajaki. Woda o bardzo niskiej temperaturze odbiera sprężystość mięśniom, obawa o życie — odporność nerwom. Dochodzi je przecież mimo to wszystko — siłą, już nie woli, a poprostu rozpaczy. Na łódkach bowiem była cała żywność, ubrania zapasowe, narzędzia — to, co wśród pustki lodowej znaczyło: podstawa do egzystencji. Ciało Nansena po tym wielkim wysiłku jest bezwładne, zziębnięte. Ale ożywia je gorąca wola, niegasnąca chęć do wytrwania na posterunku.

Po sześćdziesięciu trzech latach takiego życia w bohaterstwie, kiedy był główną osobą „Odyssei" północy, kiedy naturze wydzierał jej tajemnice i zdobywał jej bastjony, najmocniej bronione, kiedy kładł na ołtarzu nauki i postępu własne życie, skarb najcenniejszy — odszedł w krainę, gdzie spotka się ze swym, świetlistej pamięci, bratem duchowym, Roaldem Amundsenem. Bo tacy ludzie właśnie nie giną, nie **umierają,** a tylko **odchodzą** cieleśnie. Zostaje po nich trwała, niespożyta wymowa czynów, pomnik w pamięci pokoleń trwalej wzniesiony, niż w kamieniu.

— — — a teraz bądźcie chwilę zupełnie cicho: oddacie najwyższy hołd pamięci wielkiego Zdobywcy, wsłuchując się w ogromny rytm smutnych, ludzkich serc.

Jerzy R. Gietling.

Wielkanocna wycieczka na Kurpie

Puszcza kurpiowska nad Narwią była od lat białą plamą na mapie moich odbytych wycieczek, a czarną na moim honorze włóczęgowsko-krajoznawczym. Właściwie nie było żadnej wyraźnej przyczyny tego omijania Kurpiów, tylko tak się składało, że zawsze znalazł się jakiś plan innej wycieczki, wyjątkowo dogodny i aktualny w danej chwili —puszcza Kurpiowska nie ucieknie.

A puszcza, jakby naumyślnie co pewien czas przypominała o sobie.

To służąca z pod Łomży opowiadała, wiedząc że to nas zaciekawia jakie to piękne stroje u nich na wsi noszą, to koleżanka, która wszystkie święta i wakacje spędzała u rodziny koło Myszyńca podarowała mojej siostrze sznur starych kurpiowskich bursztynów, wielkich, przezroczystych koloru miodu, prześwietlonego słońcem.

Te bursztyny kusiły poprostu do odwiedzenia kraju gdzie takie cuda noszą, nasuwały myśl o jakichś prastarych borach, przedwiecznych tradycjach i obrzędach. Jak mówiliśmy, pachniały poprostu „Starą Baśnią".

Znowu jednak nieprzewidziane przeszkody, wyjazd z Warszawy i marny stan akademickich finansów nie pozwoliły na doprowadzenie do skutku tej wycieczki.

Ostatniem, najsilniejszem bodaj, wezwaniem było „Wesele na Kurpiach". Byłam na niem sztery czy pięć razy, umiałam prawie wszystkie piosenki. Ale znowu skończyło się na postanowieniu: „trzeba się wybrać na Kurpie".

Tego roku na Wielkanoc jakoś wszystko wyszło z głowy i wybieraliśmy się do Zaleszczyk, szukać wiosny. Na kilka dni przed wycieczką okazało się jednak, że nikt z nas niema pieniędzy, że w dodatku z 4-ch dni, jakie mamy wolne, zbyt dużo czasu stracilibyśmy na drogę i już mieliśmy po filistersku spędzać święta, gdy nagle telefon przynosi genjalny projekt kol. Platera: „a możebyśmy tak zobaczyli Wielkanoc w Myszyńcu!".

To na co nie można się było zdobyć od kilkunastu lat, zorganizowało się w 3 dni. Trochę biegania, aby zdobyć materjały: mapy, książki, trochę gospodarskiej kretaniny bo trzeba zabrać prowiant na 4 dni — w święta przecież nic na miejscu nie dostaniemy — i ostatecznie w Wielki czwartek wieczorem znaleźliśmy się w Łomży.

Nazajutrz wycieczka zaczęła się od oryginalnej przygody — zgubiliśmy się w Łomży. Kol. Plater wyszedł wcześniej z hotelu, żeby zatrzymać autobus. Wyszedłszy w 5 minut po nim spotkałyśmy autobus już w drodze, mimo to poszłyśmy na rynek, a nie zastawszy tam nikogo doszłymśy do wniosku, że towarzysz nasz widocznie pojechał, licząc że my wsiądziemy w drugi autobus. Ponieważ jednak czystość wozu i pasażerów nie budziła zaufania, zdecydowałyśmy pójść pieszo, wiedząc że w Nowogrodzie i tak się spotkamy.

Wyruszyłyśmy po zjedzeniu doskonałego śniadania.

Był to najcięższy etap drogi. Po zimowej przerwie dawał się trochę we znaki brak treningu, to też ani wspomniane już śniadanie, ten niezawodny środek na dobry humor, ani pierwszy raz w tym roku słyszane skowronki nie mogły rozproszyć smętnego nastroju, którego źródłem był kilkunastokilogramowy plecak.

To też miłą niespodzianką było zjawienie się na 8-ym klm. dorożki, którą dogonił nas kol. Plater. Dojechaliśmy nią do Nowogrodu w o wiele lepszych humorach niż wyruszyliśmy z Łomży.

Nowogród jest ślicznie położony nad Narwią, pozatem jednak jedyną ciekawą w nim rzeczą jest Muzeum Kurpiowskie, któremu niezmordowanie patronuje p. Chętnik — znawca i miłośnik Kurpiowszczyzny. Zwiedziliśmy więc owo muzeum, obejrzeli jeszcze starą drewnianą bóżnicę, z której pozostały tylko ściany i dach, i po zjedzeniu drobnej (niestety) części naszych zapasów, idąc za radą p. Chętnika wyruszyliśmy w stronę Myszyńca do Zbójnej.

Weszliśmy już na teren puszczy Kurpiowskiej. Niestety rozczarowanie było zupełne. Jedyne pozostałości po puszczy, to jakieś strzępki lasów, które mijaliśmy w 5 — 10 minut, takie sobie sosenki na piasku, niemal jak pod Warszawą i kolejka, którą wybudowali Niemcy, aby wywozić zrabowane drzewo. Pierwsze wrażenie było zupełnie smutne.

Ale stopniowo swoisty, choć odrębny od tego, którego oczekiwałam, urok krajobrazu zaczął brać górę.

Między kępami lasów rozległe łąki i mokradła zarośnięte kaczyńcami (kwitły właśnie), po mokradłach spacerują bociany, których nigdzie w takiej ilości nie widziałam.

Wsie bardzo rzadko rozrzucone, o szarych, niebielonych chatach. Roboty polne na mokrych gruntach jeszcze nie idą w pełnem tempie, zresztą to już Wielki Piątek, więc ruchu



Motywy ludowe na Kurpiach

ani na polach ani po drogach niema zupełnie. W ciągu 5 godzin drogi minął nas jeden autobus i gawędziliśmy jakiś kwadrans z kobietą, która szła w tę samą co my, stronę.

Więcej nie spotkaliśmy nikogo, zato co kilkadziesiąt kroków wychylały się do nas z przydrożnych rowów lub z brzegu lasu kwitnące wierzby. Były ich najróżniejsze gatunki. Niektóre miały jaskrawe żółto-zielone pędy i na nich srebrzystostalowe kotki. Inne na fioletowych gałązkach miały kotki białe, aksamitne, ze srebrzystym odcieniem. Jeszcze inne z rozwiniętemi pręcikowemi baziami wyglądały z daleka zwłaszcza w słońcu jak wycięte z ilustracji japońskiej.

Dziwnie przypominały owocowe drzewa. Niektóre pachniały miodem, inne gorzkim zapachem wierzby.

W każdym lesie czy zagajniku rosły kępy sasanek i na ich kosmatych kielichach drżały okrągłe krople powstałe po niedawnym deszczu.

Czuliśmy, jak stopniowo to wszystko co została w Warszawie staje się błahe, nieistotne, a punkt ciężkości wszystkich spraw świata umiejscawia się coraz wyraźniej w tych kaczyńcach, wierzbach, sasankach, błyskach wody na mokradłach, w zapachu młodych pędów lasu. Stopniowo umysł stawał się coraz jaśniejszy, jakby wiatr czeszący włosy zdmuchiwał z niego szary kurz codzienności i w tej pustej, dziwnie bezludnej drodze, wobec wiosny, co była taka sama teraz jak tysiąc lat temu, czuliśmy się coraz bardziej poza cywilizacją i współczesnością.

Dobra, równa szosa była czemś obcem w tym krajobrazie, jakby kaprys inżyniera rzucił ją w teren nieznający dróg i tylko wychylająca się ku niej od czasu do czasu stara przydrożna kapliczka, świadczyła że musiał tędy prowadzić stary szlak przez puszczę. Zato tak mało jest bocznych dróg dochodzących do szosy, że świadczy to wyraźnie o ogromnych niezaludnionych jeszcze przestrzeniach.

W żółtem świetle popołudniowego słońca, które właśnie wyszło z kąpieli w deszczowej chmurze ukazały się z za lasu kopce terpentyniarni w Zbójnej.

Cała ta fabryka pod odkrytem niebem ze swoimi prostemi w konstrukcji piecami wyglądała jak trochę tylko zmodernizowany spadek po dawnych smolanach puszczańskich. I nagle w tem niespodziewanem miejscu otworzyło się okienko na szeroki i daleki świat. Zarządzający terpentynarnią, Kurp z pochodzenia, służył przed wojną w handlowej marynarce rosyjskiej, był nawet kapitanem okrętu, zna niemal wszystkie porty świata.

Objaśnienia wydobywania terpentyny i smoły przeplatał wspomnieniami o Sumatrze, Jawie, Japonji. Ofiarowywał nam nocleg u siebie i gdyby nie konieczność dotarcia tegoż dnia jeszcze do Łysych, nasłuchalibyśmy się z pewnością ciekawych rzeczy.

Wypaliwszy z nim, nie fajkę pokoju wprawdzie, ale kilka papierosów, które zawsze ułatwiają zawarcie znajomości załadowaliśmy siebie i plecaki do kolejki i resztę drogi poświęciliśmy redukowaniu wagi naszych zapasów.

Trudno właściwie opisywać szczegółowo koleje naszej wycieczki. Przygód nie było. Całe cztery dni były zato cudownym odpoczynkiem, dzięki zupełnemu zapomnieniu o zwykłych warunkach życia i nowym wrażeniom. Nie były one specjalnie odbiegające od wrażeń z tylu innych wycieczek. Święcone i drzemka w lesie, nocowanie w chacie, spostrzeżenia krajoznawcze (z tej wyprawy godne zanotowania, były: przedziwne ubiory chłopców wiejskich, którzy w Wielki Piątek trzymali straż przy grobie Pana Jezusa w Łysych, śliczne stroje kobiet i dziewcząt na rezurekcji w Myszyńcu, kapliczki przydrożne, niektóre chaty i barcie przy nich, jelenie ulepione z ciasta, które pokazywano nam w chacie sołtysa w Kadzidle, ciekawe tkaniny ludowe), wszystko to wrażenia znane już z tylu wycieczek i z tylu okolic kraju, że wyliczając je kolejno wpadłabym w zwykły schemat opisów wycieczkowych. Zamiast tego wolę dać pewną syntezę swoich wrażeń.

Nawet podczas tak krótkiego zetknięcia się z ludnością uderzają pewne jej charakterystyczne cechy.

Kurpie stanowczo należą do najciekawszych i najsympatyczniejszych odłamów ludności polskiej. Są gościnni i uprzejmi. Posiadają wrodzoną inteligencję i pewną szerokość pojęć. Przechowują swoje tradycje, ale nie mają tego ciasnego zacofania co np. ludność białoruska. Są widocznie przedsiębiorczy i pracowici, bo mimo marnej ziemi, chaty mają obszerne i czyste, a konie tak utrzymane jak chyba nigdzie w Polsce.

O ich przedsiębiorczości świadczy szeroko rozwinięty domowy przemysł tkacki. Z płótnem, chodnikami czy barwnemi chustami, kurpianki jeżdżą do Warszawy, sprzedając swoje wyroby po domach prywatnych i do sklepów Tow. Przemysłu Ludowego. Kurpianka z chaty w której nocowaliśmy mówiła że ma zamówienia na 300 m płótna od różnych swoich stałych klijentów.

Dalszy rozwój tego przemysłu na Kurpiach ma dużą przyszłość przed sobą. Istnieje już spółdzielnia tkacka w Myszyńcu i ma tam swoją farbiarnię.

Pozatem sądzę, że pewna propaganda mogłaby dopomóc do rozwoju pszczelarstwa, co szłoby po linji wiekowych zamiłowań ludności i miałoby widoki powodzenia.

Czy na przedsiębiorczość Kurpiów oddziałał wpływ licznych „amerykanów", t. j. emigrantów którzy z Ameryki wrócili do swoich wsi, czy też duży % jaki stanowią oni wśród

„POLINARY"

Żeby słońce świeciło najśliczniej i na dworze był najpiękniejszy dzień — w redakcji była zawsze pochmurna jesień. A kiedy upał letni i tam dawał się we znaki, wówczas miało się wrażenie zbliżającej się burzy. Wszystkie okna były od północy. I nigdzie chyba szarzyzna codziennego dnia nie krzyczała tak rozpaczliwie, jak właśnie tam.

Najbardziej sensacyjne zdarzenia ze świata, wiadomości polityczne pierwszorzędnej wagi, wszystko to stawało się nudne, szare, lepkie, jak klej, którym się sklejało porozcinane komunikaty Pata. I na to nie było już rady.

W takiem oświetleniu twarze ludzi stają się równie szare, nudne i zamazane, jak całe otoczenie.

A zwłaszcza twarze takich najmniej znaczących „ludzików" redakcyjnych.

Siedziałam właśnie nad jakiemiś nudnemi wiadomościami z Zagłębia Ruhry i smętnie dumałam nad tem, jak ze stu wierszy zrobić dziesięć z jaskrawym, krzyczącym tytułem, gdy z za biurka przede mną wyłoniła się szara mała figurka Staśka, chłopca redakcyjnego.

Był zupełnie taki, jak dziesięciu jego poprzedników i napewno tak samo wyglądałoby dziesięciu jego następców. Nie wiadomo było nawet, czy naprawdę nazywał się Stasiek. W redakcji od dłuższego czasu trwała dynastja Staśków. Kiedyś przed laty jeden z nich tak się nazywał i imię przylgnęło do stanowiska. Żadnego nowego chłopca nikt nie pytał już, jak się nazywa. Zostawał mimowoli Staśkiem i koniec.

Chłopcy ci zmieniali się podobno często, ale jakoś nikt tego nie zauważał. Wszyscy byli tacy jacyś jednakowi, albo może nam tylko wydawali się pozbawieni indywidualności, własnego oblicza.

Czasem po redakcji krążyły wieści, że Stasiek został usunięty za kradzież znaczków, albo za to, że na 4 godziny przepadł niewiadomo gdzie, ale którego Staśka o to posądzano, ostatniego, przedostatniego, czy jeszcze dawniejszego, tego już nikt nie wiedział; właściwie nikogo to tak naprawdę nie obchodziło. Mówiło się o tych wydarzeniach poprostu dla zabicia czasu, albo żeby się oderwać od wiecznych konfliktów międzynarodowych.

Przedemną stała mała, niepozorna figurka.

— Czego chcesz, Staśku? — spytałam machinalnie, myśląc o depeszach z Zagłębia Ruhry.

Stasiek milczał i to jego milczenie kazało mi spojrzeć na chłopca. Z o b a c z y ł a m go wtedy pierwszy raz. Był mały, bardzo mały na swój wiek (a musiał mieć przynajmniej 13 lat) i bardzo brzydki. Gdybym chciała uczynić go jakimś więcej interesującym, mogłabym napisać dajmy na to, że na szpetnej ospowatej twarzy miał prześliczne łagodne, mądre, duże oczy. Ale cóż zrobić! Nie chcę fantazjować. Oczy Staśka były małe, pospolite i nawet odrobinkę zezowate.

Długą chwilę stał przedemną milczący, zakłopotany.

— Czego chcesz, Staśku?! — spytałam już trochę zniecierpliwiona.

— Ja... ja, proszę pani... Ja nie nazywam się Stasiek, tylko Polinary — wybuchnął wkońcu, jakby się bał, że mu przerwę i nie dosłucham do końca tej rewalacyjnej wiadomości.

— Chyba Apolinary, nie Polinary — zauważyłam, śmiejąc się nietaktownie.

— Polinary — opierał się Stasiek. — W domu wszyscy mówią: Polinary.

Wyprostował się dumnie, rósł we własnych oczach wymawiając to piękne, jego zdaniem, wytworne imię.

— Więc wolisz, żeby cię nazywano Polinary, nie Stasiek?

— No tak!! — zdziwił się, że mogę mieć co do tego jakieś wątpliwości.

A potem dodał w głębokiem zamyśleniu:

— To takie piękne imię.

* * *

ludności, właśnie jest tej przedsiębiorczości wynikiem trudno orzec, w każdym razie właśnie charakter ludności pozwala wróżyć dobrą przyszłość przemysłowi ludowemu, a to jest równie ważne jak warunki techniczne.

Wszystkie te myśli układały się w mojej nieco sennej głowie, podczas powrotu z Ostrołęki do Warszawy. I razem z niemi zjawiło się pytanie dlaczego wycieczki, choć nieraz łączy się z niemi zmęczenie fizyczne i niewygoda, są tak przyjemne i ma się w powrotnej drodze zawsze uczucie powrotu ze zdobyczą, choć niejednokrotnie wiezie się tylko pusty plecak. Dlaczego czterodniowa, nawet forsowna wycieczka jest lepszym odpoczynkiem dla nerwów niż 2-tygodniowy pobyt w jakimś pensjonacie.

Odpowiedź na te pytania skrystalizowała się powoli w następujące punkty:

1) Podczas wycieczki nastawieni jesteśmy na chwytanie jaknajwiększej ilości wrażeń. Podczas zwykłego odpoczynku tylko wyparowujemy z siebie zmęczenie. Dlatego podczas wycieczki proces psychiczny, który odpowiadałby fizycznemu procesowi przemiany materji w naszym organiźmie odbywa się intensywniej i szybciej.

2) Zdobyczą wycieczki są wrażenia i zaczerpnięty wraz z niemi zapas sił. Źródłem tych sił i wrażeń jest: zetknięcie z przyrodą, z zabytkami i z ludźmi.

O wpływie przyrody mówiono i pisano już bardzo dużo. Zabytki oddziaływują przez związane z niemi wspomnienia historyczne, albo przez swą wartość artystyczną.

Najmniej powszechnie bierze się pod uwagę wpływ zetknięcia z ludźmi, a jest on bardzo wybitny. Wycieczkowe nastawienie na chęć jaknajdokładniejszego poznania rzeczy napotkanych wobec ludzi z którymi się stykamy każe nam chwilowo przynajmniej wyjść z ciasnego kręgu własnej osobowości, spojrzeć na świat czyjemiś oczami.

To też takie spojrzenie rozszerza ogromnie nasz horyzont, i daje nowy punkt widzenia, z którego nasze własne sprawy ukazują się nagle w innem oświetleniu i proporcjach. A zarazem czujemy jak od tych nieznanych nam ludzi zaczerpnęliśmy sił, spokoju, równowagi.

Ta ostatnia refleksja rozlała się jak oliwa po moich chaotycznych trochę myślach i ostatnie uczucie przed zaśnięciem, już napół tylko świadome zabyłsło jakby dziękczynieniem i radością, że Polska jest tak duża i tak różni ludzie w niej mieszkają. I jak to dobrze, że każda połać kraju ma swoje tradycje, kulturę, charakter, i że bogatszy wewnętrznie staje się człowiek który to wszystko poznaje. I że bardzo dobrze, że trwa praca aby te odrębności kulturalne podtrzymać, uszlachetnić i pozwolić im szukać swojej drogi.

Tu poczułam, że jestem już blisko zagadnienia regjonalizmu, ale nie zdążyłam o nim dobrze pomyśleć, bo zasnęłam.

Dziś spisując to już na trzeźwo nie chcę wam opisywać dokładnie wszystkiego co osobiście na tej wycieczce znalazłam, ale powiem: jedźcie na Kurpie i wogóle pamiętajcie, że żaden system nauki o Polsce nie da się porównać z wycieczką.

J. Prażmowska



Rezurekcja w Myszyńcu

Tego dnia bardzo było wesoło w redakcji. Przedmiotem ogólnej wesołości był oczywiście Polinary, którego już inaczej nie nazywano. Dynastja Staśków skończyła się.

Polinary chodził dumnie, jak paw, roztaczając wokoło blaski i barwy swego błyszczącego, świetnego imienia.

Zadowolenie było obustronne.

* * *

A jednak gdzieś na samym dnie mojej świadomości kołatała się myśl, że nie wszystko jest w porządku, że ktoś tu jest wyraźnie pokrzywdzony.

Wrażenie to rosło z dniem każdym, tak, jak z dniem każdym twarz Staśka - Polinarego stawała się dla nas wszystkich wyrazistsza, jakaś bardziej osobista, mniej szara i zamazana.

Poprostu zwróciliśmy na niego uwagę.

W tym czasie zdarzył się jeszcze jeden drobny wypadek. Był maj pełen pachnących, cudownych bzów. Ktoś przywiózł ze wsi do redakcji olbrzymi snop takich najpiękniejszych bzów. Poprostu jakby wielki, wielki krzak. Mieliśmy podzielić się bzami. Funkcję sprawiedliwego podziału bzu powierzono mnie, jedynej kobiecie w redakcji.

Gdy się już zabierałam do uporządkowania kwiatów, jak z pod ziemi wyrósł przedemną Polinary. Był nieśmiały i zażenowany. Patrzył łakomie na bzy i milczał.

Domyśliłam się odrazu.

— Chcesz kwiatów, Polinary?

— Tak — odetchnął z ulgą i radością. Dałam mu duży pęk bzu, za którym prawie znikła jego brzydka drobna postać i spytałem:

— Na co ci te kwiaty?

Nie otrzymałam na to odpowiedzi. Polinary poczerwieniał za bzami tak bardzo, że jego ospowata twarz pokryła się czerwonemi plamkami, jak wysypką, wreszcie uciekł pozostawiając mnie bardzo niezadowoloną z niedyskretnego zapytania.

Zresztą ciekawość moja była wkrótce zaspokojona.

Nazajutrz była niedziela i przed kościołem spotkałam Polinarego z jakąś starą kobietą, napewno matką. Polinary był w nowem ubraniu i w nowych butach, a jego matka niosła przed sobą uroczyście wielki bukiet bzu. W podniosłym nastroju para ta wkroczyła do kościoła.

Pomyślałam sobie wtedy, że Polinary, ofiarowując starej matce bukiet kwiatów, jest poczciwym dobrym chłopcem, i zrobiło mi się naprawdę przykro, że właściwie przezemnie stał się pośmiewiskiem całej redakcji. To przecież ja powiedziałam kolegom, że nie chce być Staśkiem, bo jest Polinarym.

Postanowiłam wszystko naprawić. Tylko że zabrałam się do tego najgłupiej w świecie, z kompletnym brakiem taktu.

— Polinary! — mówiłam. — Widzisz, ty jesteś mały, do ciebie takie długie poważne imię nie pasuje. Stasiek był dużo lepszy. Nawet panowie z redakcji śmieją się z ciebie...

Przerwałam... Polinary poczerwieniał tak, jakby krew mu chciała wytrysnąć z policzków. Na dziecinnej twarzy znać było wyraźną, wielką przykrość.

— Nie martw się, mówiłam, dalej. To bardzo łatwo naprawić. Zacznę na ciebie znów wołać: Stasiek — i wszyscy się przyzwyczają bardzo prędko.

Polinary zmarszczył się, zmagał się chwilę z sobą wreszcie wybuchnął:

— Jestem Polinary na Chrzcie Świętym. Zostanę Polinary!! Nie chcę Staśka!!!

Ostatnie słowa przeszły w donośny krzyk.

I został Polinarym.

Marja Stypińska

—o○o—

MONT BLANC

(Dokończenie)

Patrzymy dokoła. Chce się powiedzieć, jak Makuszyński, że ziemię „widać chyba już całą"... Już nie łańcuchy alpejskie się odróżnia, ale całe krainy. Tam Leman, Szwajcarja, tam Lombardja, Adrjatyk, a tam, het daleko, na północ, na wschód Polska...

Jest nam bardzo radośnie. Czujemy się jak małe pyłki na tym ogromie.

Jak wielki i wspaniały jest ten świat! Jak bardzo chce się wielbić potęgę Stwórcy. Chyba nigdzie nie można tak bezpośrednio odczuć wielkości i majestatu Boga, jak wśród tych gór potężnych i bezmiernych.

Na szczycie pozostajemy krótko. Pomimo słonecznej pogody, jest zimno i wieje dość silny wiatr. Z nieba zwiesza się nieskończona ilość białych chmur. Trzeba myśleć o powrocie. Robimy zdjęcia fotograficzne i rozpoczynam odwrót. Idzie się teraz z lekkiem sercem, w poczuciu osiągniętego celu. Jedynie zejście z Garbu było dość uciążliwe. Spuszczać się trzeba było z niesłychaną ostrożnością, probując i szukając stopą otworu w lodzie i przylepiając się formalnie do ściany. Wymaga to dużego opanowania nerwów i skupienia woli, gdyż każda nieuwaga może strącić w przepaść. Przytem wyobraźnię trzeba trzymać na wodzy, gdy się widzi pod swemi nogami przepaść na 1000 m. Nie trwa to zresztą zbyt długo, pomimo rozmyślnego, bardzo powolnego schodzenia. Opuściwszy go, dość szybko dotarliśmy do schroniska Vallot, gdzie mieliśmy nocować. Dziwną istotnie była ta noc na 4300 m. wysokości. Powietrze było tak suche, że wywieszona na dworze mokra chustka, wyschła w ciągu kilkunastu minut. W gardle tak zasycha, że trzeba w nocy ciągle coś popijać. Puls jest oczywiście przyśpieszony. Ale zresztą czuliśmy się zupełnie dobrze. Nie mogę powiedzieć by się dobrze spało, pomimo rzetelnego zmęczenia. Przedewszystkiem zerwał się straszliwy wicher. Uderzał tak silnie o dach i ściany naszego domku, że samo dudnienie nie pozwalało zasnąć. Przytem malutkie schronisko tak się całe trzęsło, że nie można było obronić się myśli, że jeszcze chwila, a wichura poderwie cały domek i rzuci go gdzieś na dół w białą dal. Z radością przywitaliśmy pierwsze blaski dnia. Zerwaliśmy się natychmiast, przedewszystkiem dlatego, że ta straszna wichura nocna wróżyła niewątpliwie zepsucie się pogody i trzeba było jaknajśpieszniej uchodzić z gór. Jakoż, tak się stało istotnie. Niebo było pokryte chmurami, niektóre szczyty ginęły już we mgle. Było względnie ciepło i śnieg zupełnie miękki. Aż nadto dosyć znaków ostrzegawczych. W największym pośpiechu, przygotowaliśmy śniadanie, poskładaliśmy kołdry i sprzątnęliśmy izbę (jest to obowiązkiem i punktem honoru każdego turysty zostawienie schroniska we wzorowym porządku, i takiem się je zawsze w Alpach zastaje). Poczem natychmiast ruszylimśy w dół. Był to bardzo dziwny marsz, bieg raczej właściwie. Rzucało się nogi w stromy miękki śnieg i każdy sus posuwał o półtora metra w dół. Wysiłku przytem nie było żadnego, a śnieg, hamował nadmierny rozpęd. W tej górnej partji lodowca nie było prawie wcale szczelin, zresztą była lina od wypadku. Biegliśmy tak, gnani z jednej strony poczuciem realnego niebezpieczeństwa niepogody (za parę godzin mogła przyjść mgła i zadymka śnieżna) a z drugiej strony, jakiemś radosnem upojeniem, które daje bliski kontakt ze śnieżnymi olbrzymami i lodową pustynią, oraz poczucie że się ich w pewnym zakresie pokonało. Gnanie to po stokach Mont Blanc z wichrem szumiącym w uszach, należy do moich najprzyjemniejszych górskich wspomnień.

Doszlimśy do Grands Mulets w chwili, gdy niepogoda była już wyraźna, a Mont Blanc całe w chmurach. Teraz pozostało jeszcze tylko zejście przez Jouctions i niższe lodowce, gdzie nawet zachmurzenie nie było już zbyt groźne. A potem przez moreny i las do Chamonix.

A gdy się już było pod dachem, w zwykłem ludzkiem mieszkaniu, gdy się usiadło w miękiem fotelu, przy łagodnie świecącej lampie, to przymknąwszy oczy, znów się widziało bezkresne białe przestrzenie, blask igieł lodowych i nieprzeliczone, zwisające z błękitu obłoki...

Długo potem zachowało się je w oczach.

Z. A. Wołowska.

MATURA

(feljeton).

Przyszły czasy srogie, czasy złe, kiedy to po ulicach i parkach naszego miasta jak zresztą i innych miast posiadających gimnazja, snują się postacie płci obojej blade, wynędzniałe, przerażone, szepcąc nieustannie niby zaklęcia przeciw złym mocom o różnych sinusach, cosinusach, Cezarach, Karolach Wielkich, trójmianach kwadratowych i accusativus cum infinitivo. Czasy srogie, jako się rzekło: Matura.

Otóż chcąc coś więcej powiedzieć naszym miłym Czytelniczkom i Czytelnikom o tym potworze, postanowiłem dowiedzieć się czegoś o nim w perspektywie ostatnich paru dziesiątków lat. W tym celu rozmawiałem z pewnym wyższym oficerem, który zdawał maturę w Poznaniu (za czasów zaboru pruskiego), z pewną kobietą, dziennikarką, która zdawała ją w Warszawie (za czasów rosyjskich), z pewnym profesorem, który zdawał w Krakowie (za czasów austryjackich), oraz z jednym z naszych czytelników, który wczoraj właśnie ukończył egzaminy.

Oto com usłyszał.

— Maturę zdawaliśmy po ukończeniu dziewięciu klas gimnazjalnych, — opowiada pan pułkownik, — językiem wykładowym był cały czas niemiecki. Ponieważ byłem w szkole typu klasycznego uczyliśmy się łaciny od pierwszej klasy, a greki od czwartej. Nauczycieli mieliśmy samych Niemców, ostatni Polak ks. Głębocki musiał ustąpić z gimnazjum w r. 1903. Uczniów Polaków nie prześladowano wprawdzie specjalnie, jednak w roku, kiedy zdawałem maturę, na dwudziestu z naszej klasy nie dopuszczono do egzaminów ośmiu, w tem siedmiu Polaków — trudno, nie umieli się dobrze wysłowić po niemiecku. Egzaminy były najpierw piśmienne: łacina, grecki (tłomaczenie tekstu na język niemiecki), niemiecki i matematyka. Potem ustne. Odbywały się publicznie, wszyscy byli obecni na sali w czasie egzaminu, pytano tylko z przedmiotów z których uczeń był słaby. Ponieważ nie nosiliśmy mundurków, ani czapek, wszyscy musieli na egzamin ubierać się w czarne tużurki i cylindry, u pedla oczekiwały przyniesione specjalnie laski, z któremi ludzie „dojrzali" zaraz po ukończeniu egzaminu szli na spacer. W każdym razie o ile w ciągu roku prześladowano nas za zakonspirowaną naukę języka polskiego w tak zwanych TTZ'ach (Towarzystwa im. Tomasza Zana) i niejeden został bezpowrotnie wydalony z gimnazjum za to, na egzaminach traktowano nas ostro, lecz lojalnie. Jeżeli się umiało przedmiot i potrafiło dobrze odpowiadać po niemiecku, można było zdać.

— Matura — to zbiorowa sugestja — stwierdza energicznie redaktorka pewnego poczytnego pisma. — Szykanowano nas Polaków zarówno w gimnazjach prywatnych, jak i rządowych. Każdy z inspektorów Rosjan uważał za swój

obowiązek szpiegować uczniów i profesorów, zadawać podstępne pytania, z których możnaby się zorjentować, czy wykłady historji powszechnej nie odbywały się czasem w języku polskim i czy trzymamy się ściśle Iłłowajskiego, który tendencyjnie fałszował fakty odnoszące się do historji Polski. Nie szczędzono nam najrozmaitszych przykrości, a mimo to uważam, że ten paniczny strach przed egzaminami maturalnemi to przesada, a przytem on właśnie czyni z tych egzaminów potworny koszmar. Wiem, że poglądy moje będą zupełnie odosobnione, że niewiele osób zapatruje się taksamo na maturę, jednak powtarzam jeszcze raz: legenda okropności przywiązana do tych egzaminów jest ich największem utrudnieniem. Przyznać muszę, że nawet zdające razem ze mną koleżanki zupełnie inaczej reagowały na egzaminy i dziś również inaczej o nich mówią, ja jednak zupełnie się nie bałam (jeszcze nigdy w życiu nie odczuwałam tremy!). Inni narzekali na system wyciągania biletów z pytaniami, ja nie, zawsze wyciągałam pytania, na które umiałam specjalnie dobrze odpowiedzieć. Uważam, że jeżeli ktoś nie podda się złemu nastrojowi, towarzyszącemu zawsze maturze, zda napewno i bez wielkiego trudu. Oto wszystko!

— Zdawałem maturę w gimnazjum rządowem w Krakowie — mówi pan profesor. — Jednak większość mych nauczycieli stanowili Polacy bynajmniej nie wiernopoddańczo do C. K. rządów usposobieni. Egzaminy były łatwe, matematyka bez dyskusji (godne zazdrości) reszta tak, jak dzisiaj, bo u nas przyjęto system austryjackich egzaminów maturalnych, nad program była tylko greka. Zresztą dostaliśmy kawałek tłomaczenia, który umiałem wprost na pamięć, przezornie zrobiłem więc pięć błędów, byłem z greki słaby — wypadło więc doskonale. Jedyny może ciężki orzech to była: „Statystyka" c. k. państwa. Zresztą nie chciano nas obcinać, profesorowie narówni z nami twierdzili, że matura jest zupełnie nie potrzebna, więc podpowiadali i pozwalali ściągać na potęgę. Wprowadzono wtedy reformę, zamiast stawiać stopnia na maturze pisano, czy uczeń otrzymuje maturę za jednomyślną zgodą egzaminatorów, czy też większością głosów. Ja otrzymałem maturę jednomyślnie, ale com się strachu najadł na egzaminach, tom się najadł. Wystarczy wspomnień na całe życie!

— Doprawdy sam nie bardzo wiem jakem zdał maturę — spowiada mi się blady jeszcze ze męczenia (a może i ze strachu) „dorosły" człowiek. Egzaminy wprawdzie były dość łatwe, komisja odnosiła się do nas bardzo przychylnie, ale ja się tak bałem! Bo proszę tylko pomyśleć, cały rok uczyłem się nieźle, a gdyby tak akurat zapomnieć czego na egzaminie? Prawda, że profesorowie wiedzą, jak bardzo każdy abiturjent jest zdenerwowany w czasie pytania i uwzględniają to, ale zawsze...

— A gdyby się pan wcale nie przejmował — zapytałem — czy nie byłoby znacznie lepiej?

— O, z pewnością — zawołał — ale jakże się można nie przejmować, przecież to matura!

Oto mili moi Czytelnicy co usłyszałem o maturze. Jest straszna, potworna, przeraźliwa, ale nawet nie bardzo trudna. Więc może miała rację ta nieustraszona kobieta, która nietylko matury się nie bała, ale odważyła się nawet zostać dziennikarką (jak wiadomo, zawód to bardzo okropny!) i kategorycznie twierdzi, że strach przed egzaminami maturalnemi to zbiorowa sugestja.

Mm.

Z PRZYRODY I TECHNIKI

Zwierzęta świecące — a nasza technika oświetlania

Przyroda nasza jest najdoskonalszą mistrzynią, z jej skarbów czerpie ustawicznie poszukujący prawdy i polepszenia warunków bytu duch ludzki. Lotu w przestworza powietrzne nauczyły nas ptaki, bobry stały się naszemi nauczycielami przy budowie tam, rozmaite owady wskazały nam nowe możliwości wykorzystywania miejsca, a nieograniczone wprost widnokręgi ukazały się dla ludzkości, od kiedy uczeni zdołali odsłonić tajemnicę lśniącej wstęgi błyskawicy.

Wśród wszystkich zastosowań, jakich doczekały się siły elektryczne w rozmaitych dziedzinach współczesnego życia niewątpliwie najważniejsze jest zastosowanie elektryczności do oświetlania naszych mieszkań. Światło elektryczne spływające bogatym potokiem z sufitu za jednem przekręceniem kontaktu, tak niezmiernie wygodne i „czyste" w użyciu musiało siłą swych zalet wyprzeć wszystkie lampy naftowe,oliwne, a nawet gazowe i niby lśniący pomnik Edisona zająć opuszczone przez swych poprzedników pozycje. A jednak, wśród stałej dążności do coraz większych ulepszeń i udoskonaleń urządzeń technicznych, nie uszło uwagi techników, że światło elektryczne nie jest ideałem oświetlenia technicznego, gdyż bynajmniej nie odpowiada zasadom ekonomji. Od naszych lamp wymagamy aby nam świeciły, a wszelkie równoczesne produkowanie ciepła jest zupełnie zbyteczne. Technika dąży do zimnego światła! Przedwczesnem byłoby twierdzić, że znajdujemy się tuż przy rozwiązaniu niezwykle ciekawego problemu światła zimnego. W każdym bądź razie odpowiednie doświadczenia już podjęto.

Wielkie były swego czasu nadzieje fizyków, gdy odkryto możliwość wytwarzania zimnego światła zopomocą prądów zmiennych o bardzo wysokiem napięciu. Przy prądach Tesli rozrzedzone gazy w rurkach geisslerowskich świecą bez ich połączenia bezpośredniego z przewodami elektrycznemi, przyczem rurki takie swobodnie trzymać można w rękach, gdyż zupełnie się nie rozgrzewają. W wypadku tym światło powstaje pod wpływem uderzeń elektronów, najmniejszych cząsteczek elektryczności, o drobiny rozrzedzonych gazów. Faktycznie znajdują się już w użyciu kule, napełnione tylko rozrzedzonym gazem, zwykle neonem, które świecą w elektromagnetycznem polu prądów zmiennych o wysokiem napięciu.

Atoli również taki rodzaj oświetlenia nie odpowiada naszym wymaganiom jest bowiem wobec konieczności stosowania prądów o bardzo wysokiem napięciu bardzo drogi. I oto — kto wie — czy ostatecznego rozwiązania problemu nie podsuną nam zwierzęta.

W ostatnich latach zanotować możemy znaczny postęp w badaniach organów świecenia małych robaczków świętojańskich i im podobnych świecących żyjątek. Stwierdzono, że robaczki te wytwarzają z sześćdziesięciopięcio procentowem wykorzystaniem swej energji promienie świetlne. Każde zwierzątko posiada białkowatą materję, nazywaną przez uczonych amerykańskich lucyferyną. Gdy do owej lucyferyny dostaje się tlen, powstają efekty świetlne. Co jednak najważniejsze przy całym procesie sama lucyferyna nie zostaje zniszczona, traci tylko powoli swoją własność świecenia. Własność tą może jednak ponownie nabyć pod wpływem oświetlenia słonecznego. Jak widać stąd lucyferyna magazynuje światło dnia, aby następnie w nocy nabytą w ciągu dnia energję wypromieniować.

Dla fizyka rzeczą niezmiernie ważną jest stwierdzić, czy ten proces magazynowania, a następnie promieniowania światła związany jest z żywą komórką. Badaniom amerykańskiego uczonego Newtona Harwaya zawdzięczamy stwierdzenie, że cały proces daje się wytwarzać sztucznie bez pośrednictwa żywych substancji.

Bardziej tajemniczem zjawiskiem jest obserwowane co noc na morzach równikowych świecenie wody. W czasie nowiu, kiedy tylko skąpe światło gwiazd rozwidnia horyzont najlepiej można obserwować dziwne to zjawisko. Zwłaszcza przy dziobie okrętu oraz w wzburzonym potoku fal, znaczących ślad jego drogi często bałwany przyjmują wygląd ognistych języków kotłującego się żaru. Przyrodnik wie, że niezwykły blask morza posiada swe źródło w maleńkich istokach, żyjących, oddychających i rozmnażających się w głębinach. Zaledwie milimetr w przekroju mierzą owe cudowne zwierzątka, które uczeni odbarzyli nazwą noctiluca. Noctilucae o kształcie kulistym zaopatrzone są w krótki ogoneczek, zapomocą którego przygarniają sobie pożywienie składające się z rozmaitych alg, infuzorjów i najmniejszych atomów życiowych, stanowiących plankton morza. Tylko wtedy, gdy ocean jest spokojny noctilucae znajdują się na samej powierzchni morza, gdy silne wiatry wzburzą ocean i spokojną taflę wód powydymają w olbrzymie bałwany małe zwierzątka zanużają się do niższych,

głębszych regjonów, przyczem posługują się takim samym mechanizmem nurkowym, jak łodzie podwodne. Zasadniczo noctilocae są lżejsze od wody, mogą jednak napompować do swego ciała nieco wody i wtedy zniżają się do niskich warstw.

Gdy przyglądamy się małym zwierzątkom przez szkło mikroskopu zauważamy, że powierzchnia ich zajęta jest licznemi, świecącemi punktami. Dyskusja uczonych nad mechanizmem tego organu świetlnego dotąd jeszcze nie została ukończona. Prawdopodobnie źródłem tego światła są specjalne baterje, goszczące w miljonach w małych kuleczkach noctiluk. Jeśli uwzględnimy, że miljardy noctiluk wytwarzają owe błyszczenie, to wtedy łatwo obliczyć, że tryljony, a nawet kwadryljony maleńkich iskierek składa się na odblask jasności, muskający fale wodne.

O technicznem wykorzystaniu mechanizmu świetlnego małych mieszkańców państwa Neptuna, niema oczywiście mowy ze względu na brak bliższych wiadomości o procesie świecenia w tym wypadku. Znacznie większe są natomiast szanse, że uda nam się niebawem wykorzystać świetlne sztuczki robaczków świętojańskich. Wykazały to wspomniane wyżej doświadczenia amerykańskich uczonych.

Wspomnijmy jeszcze, że według W. W. Coblentza każdy robaczek świeci natężeniem $^1/_{100}$ części normalnej świecy, a już badacze zeszłego stulecia przekonali się, że można czytać książkę przy walcu szklanym, w którym znajduje się kilka takich świecących iskierek.

Zadaniem techników najbliższych lat będzie stworzyć taki preparat fotochemiczny, któryby podobnie jak lucyferyna, lecz znacznie silniej od niej, magazynował światło słoneczne dnia, a następnie promieniował je w nocy. Marzeniem fizyków byłoby impregnowanie takim preparatem ściany domów, kamienie bruku, ewentualnie nawet materjały naszych ubrań, by nocą całe nasze otoczenie żarzyło się przyćmionem światłem, nabytem i nagromadzonem poprzednio w ciągu dnia. Łatwo można sobie wyobrazić, że taka inowacja techniczna zmieniłaby świat cały, nasz rozkoszny glob w prawdziwe państwo bajki.

Ponoć istnieją jeszcze ludzie, którzy twierdzą, że fizycy i inżynierowie nie uznają romantyzmu...

dr. F. Burdecki

KRONIKA POLITYCZNA

59-ta SESJA RADY LIGI NARODÓW.

Część pierwsza traktatu wesralskiego, zawartego, jak wiadomo 28 czerwca 1919 r., obejmuje tak zw. pakt Ligi Narodów.

Liga Narodów jest to związek państw, utworzony w celu „rozwoju współdziałania narodów i zapewnienia im pokoju i bezpieczeństwa przez przyjęcie zobowiązań nieuciekania się do wojny, wprowadzenie jawnych, sprawiedliwych i honorowych stosunków między narodami, utrwalenie przepisów prawa międzynarodowego jako rzeczywistej reguły postępowania sprawiedliwości i ścisłego poszanowania wszystkich zobowiązań, przyjętych w traktatach międzynarodowych".

Głównem więc zadaniem Ligi jest utrzymanie pokoju, lecz także ma Liga nadzór nad administracją tak zw. terytorjów mandatowych (byłe kolonje niemieckie w Afryce; Palestyna, Syrja, Mezopotamja w Azji — a w pewnej mierze i nasz Gdańsk); następnie do Ligi należy opieka nad mniejszościami wyznaniowemi i narodowościowemi — ona też ma zadania o charakterze humanitarnym i społecznym (np. zwalczanie chorób zakaźkaźnych).

Pod kierownictwem Ligi znajduje się tak zw. organizacja Pracy, mająca na celu międzynarodową ochronę pracy.

Członkiem Ligi może być każde państwo, a nawet każda samoistnie rządząca się kolonja np. Australja, Kanada, Południowa Afryka i t. p. Pierwszymi członkami Ligi miały być 32 państwa, które podpisały z Niemcami traktat wersalski, oraz 13 państw neutralnych. — Ameryka jednak traktatu wersalskiego nie ratyfikowała i do Ligi nie należy.

Organami Ligi są: Zgromadzenie, Rada Ligi, i Stały Sekretarjat.

W Zgromadzeniu bierze udział każde państwo, należące do Ligi.

Rada Ligi składasię już tylko z przedstawicieli niektórych państw (między innemi i Polski).

Sekretarjat składa się z Generalnego Sekretarza i sił pomocniczych i przygotowuje i porządkuje materjał do rozważań dla Rady i Zgromadzenia.

Przed paru miesiącami odbyło się 58-e zebranie Rady Ligi Narodów, na którem przewodniczył nasz minister spraw zagranicznych, August Zaleski — obecnej Radzie przewodniczył minister spraw zagranicznych Jugosławji, Marinkowicz. Choć program prac Rady był dość obfity, miała bowiem Rada przygotować materjał dla wrześniowego pełnego Zebrania Ligi, przygotować rewizję statutu Ligi celem dostosowania go do pokojowego paktu Kelloga, rozpatrzyć projekt federacji Europy, opracowany przez francuskiego ministra spraw zagranicznych Brianda. Załagodzić spór francusko-włoski, oraz załatwić cały szereg spraw drobnych i administracyjnych, już po trzech dniach Rada ukończyła obrady (12 — 15 maj), a ciężar obrad przesunął się z zebrania ogólnego Rady na Konferencje prowadzone na śniadaniach i obiadach przez poszczególnych ministrów państw, należących do Rady.

Konferował więc polski minister spraw zagranicznychz niemieckim ministrem spraw zagranicznych Curtiusem — to znów Zaleski z Briandem, ministrem spraw zagranicznych Francji — lub Henderson, minister angielski z Grandim ministrem Włoch.

Treść tych narad przeważnie nie dochodzi do wiadomości ogółu, ale wiadomo wszystkim, że obraca się około sporu polsko-niemieckiego, a przedewszystkiem dość silnego tarcia i antagonizmu między Włochami i Francją, a dotyczącego sprawy, związanej z konferencją londyńską morską (patrz poprzedni „Sternik"). Italja żąda parytetu z Francją na morzach i w tym duchu wypowiedział się właśnie przed wyjazdem do Genewy na zebranie Rady minister włoski, Grandi — a jeszcze nie przebrzmiały echa tej nieprzyjemnej dla Francji mowy, gdy sam Mussolini w Livorno zebrał głos.

„Mówię nietylko do was (do zebranych tłumów włoskich), mówię do narodu italskiego, a nawet do narodów zagranicznych, że nie szukamy nagłych awantur, ale gdyby ktokolwiek chciał targnąć się na naszą niezawisłość i na naszą przyszłość, ten nie zdaje sobie jeszcze sprawy do jakiego stopnia podniósłby temperaturę narodu italskiego... Naród italski chce nietylko dobrobytu, chce także prestiżu i swojego miejsca w świecie..."

Tak mówił Il Duce, a wszyscy zrozumieli, że to Francja nie pozwala Italji zająć „swojego miejsca w świecie"... Nic dziwnego, że obrady Rady Ligi w Genewie skończyły się szybko, a projekt Brianda, dotyczący federacji Europy nie był wcale rozpatrywany,lecz przesłany z odpowiednim kwestjonarjuszem już po zebraniu Rady różnym państwom.

SPÓR WŁOSKO-FRANCUSKI.

Istota sporu jest bardzo dawna, dotyczy ona równowagi względnie przewagi któregoś z tych państw na morzu Śródziemnem; odkąd powstało Zjednoczone Królestwo Włoskie, powstała i ta kwestja; jej to należy przypisać, że Italja przed wojną znalazła się w tak zw. trójprzymierzu i dopiero po roku trwania wojny światowej przyłączyła się do koalicji antyniemieckiej. Dziś sprawa jest znów aktualna, a Mussolini, zabierając poraz drugi głos dn. 18 b. m. do zebranych we Florencji tłumów italskich, powiedział: „Otóż tu, na tem miejscu, ponownie stwierdzam, że ten program (morski) będzie zrealizowany co do tonny i że 29 jednostek morskich z naszego nowego programu będą spuszczone na wodę, — albowiem wola faszystów jest nietylko żelazna i zdecydowana, ale jest też matematycznie obliczona". A mówiąc o rewji, która się miała odbyć nazajutrz, powiedział: „Ja tej rewji chciałem i ja ją zarządziłem, albowiem jakkolwiek słowa są rzeczą piękną, nawet bardzo piękną, to jednak karabiny, mitraljezy, okręty, samoloty i armaty są rzeczą jeszcze piękniejszą". Mówę tę tłum przyjął oklaskami i owacjami, lecz do załagodzenia sporu francusko-włoskiego napewno się ona nie przyczyni.

Prasa francuska zestawia tę wojowniczą, pełną pogróżek mowę — z inicjatywą pokojową Francji, z projektem unji federacyjnej europejskiej Brianda.

RUCH WOLNOŚCIOWY W INDJACH.

Ruch wolnościowy w Indjach po aresztowaniu Gandhiego nie ustaje; władze angielskie aresztowały następcę Gandhiego Abbasa Tyabji, skazując go na 6 miesięcy więzienia, lecz niewyjaśniło to, ani zmieniło sytuacji, walki trwają nadal i przybierają coraz ostrzejszy charakter. W okolcy Dharahana aresztowano 224 wybitniejszych wodzów indyjskich.

Z NIEMIEC.

W związku z tak zw. „programem wschodnim" Niemcy przeznaczyły półtora miljarda marek (około 3 miljardów złotych, a więc tyle ile wynosi budżet roczny naszego państwa)na pomoc w formie kredytu dla handlu i rolnictwa Prus Wschodnich, a także na rozbudowę sieci kolejowej, zwłaszcza nad granicami polskiemi; program inwestycji dotyczy także części Górnego Śląska, która jest w posiadaniu Niemiec. Program obliczony jest na lat 5. Nie ulega wątpliwości, że pod temi gospodarczemi inwestycjami kryją się zamaskowane zbrojenia, skierowane przedewszystkiem przeciwko Polski.

PROJEKT BRIANDA.

P. Laroche, ambasador francuski w Warszawie, złożył wczoraj rządowi polskiemu memorandum, w sprawie przyszłego ustroju federacyjnego Europy. Takież samo memorandum otrzymały wszystkie państwa europejskie, należące do Ligi Narodów. Rząd francuski prosi rząd polski o nadesłanie odpowiedzi swej w tej sprawie do 15 lipca b. r. Projekt Unji europejskiej przewiduje 3 organy: 1) „Konferencja europejska", złożona z przedstawicieli wszystkich rządów europejskich, członków Ligi Narodów, co jak widzimy, odpowiada Zgromadzeniu Ligi; 2) Komitet polityczny, złożony jedynie z pewnej liczby członków, a więc znów jakby Rada Ligi i 3) sekretarjat (jak w Lidze).

Projektowany przez Brianda związek ma funkcjonować w ramach Ligi Narodów i uzupełniać jakby działalność Ligi zwłaszcza w dziedzinie europejskich zagadnień gospodarczych.

jb.

◆◆◆◆

Kronika Majowa

Nie omyliliśmy się zapowiadając w ostatniej „kronice" odsłonięcie pomnika Kopernika. Było ono wielkim „ewenementem" majowym i odbyło się dn. 2 maja 1830 r. Podczas odsłonięcia przemawiał prezes Tow. Przyjaciół Nauk. Pogoda była bardzo piękna. Ogromne tłumy zebrały się na tę uroczystość. Wszystkie balkony i okna przyległych domów były pięknie ozdobione. Na najwyższej galerji Tow. Przyj. Nauk umieszczono orkiestrę i chóry, które odśpiewały kantatę ułożoną przez Karola Kurpińskiego. Wieczorem odbył się bankiet w hotelu Wileńskim, podczas którego Ludwik Osiński deklamował „Odę o Koperniku". Sam pomnik, aczkolwiek dłuta wielkiego Thorwaldsen'a, nie zachwycił jednak publiczności warszawskiej, która twierdziła, że astronom „siedzi w nieprzyjemny sposób na piedestale". Mniemanie to starał się jej wyperswadować pan Adam Idźkowski, budowniczy pałaców cesarskich, oraz członek rady budowlanej w Warszawie.

Nie tylko jednak odsłonięciem pomnika wielkiego rodaka-astronoma złożyła Warszawa hołd nauce, lecz uczyniła to również, wysyłając deputację profesorów uniwersytetu do słynnego przyrodnika Humboldt'a, bawiącego w tym właśnie czasie w Warszawie. Przyjazd jego interesował bardzo umysły inteligencji warszawskiej.

Wszystko jednak blakło wobec przyjazdu do naszej stolicy Mikołaja I, samodzierżcy rosyjskiego i „króla polskiego". Odżyły najrozmaitsze nadzieje polityczne, gdyż sporo było jeszcze takich, którzy łudzili się, że „ukochany Monarcha" zrobi coś dla Polski. — O żadnych manifestacjach pierwszomajowych nie było oczywiście wówczas jeszcze mowy. Nie było wolno również obchodzić rocznicy Konstytucji Majowej. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności Tow. Przyjaciół Nauk w tym właśnie czasie ogłosiło konkurs na napisanie książki dla „ludu prostego" z zakresu moralności chrześcijańskiej.

Już i wówczas kształcili się ludzie zawzięcie w różnych klasach „loterji klasycznej". Nie istniała jeszcze coprawda słynna akademja pod pięknem wezwaniem „Szukasz szczęścia, wstąp na chwilę", lecz ogłaszał się już kantor Feliksa Kierzkowskiego przy ul. Freta Nr. 255. Tylko, że czynił to prosto i skromnie, nie głosząc bynajmniej, że jest „najszczęśliwszą kolekturą".

Wielce godnym uwagi jest natomiast spór o kucharkę, który rozpoczął 100 lat temu w Nr. 10 „Kurjer Polski". Publicysta jego podaje „naypewniejszy sposób powiększenia liczby kucharek i ulepszenia ich tak w sztuce gotowania, iak i moralności". — Szło mianowicie o to, aby usługę żeńską w kawiarniach i szynkowniach zastąpić męską, oraz o założenie zawodowej szkoły kucharskiej. Oburza się na to „Dziennik Powszechny Krajowy" w Nr. 123. Z odpowiedzi jego dowiadujemy się ciekawych rzeczy: „w całym kraju polskim zbywa na dobrych kucharkach od tyłu lat, nawet tam, gdzie liczba szynkarek iest nic nieznacząca", oraz, iż wszędzie u nas chwalą kucharki niemieckie. Jeśli zaś chodzi o moralność kucharek, to twierdzi, że „co do rozwolnienia obyczaiów kobiet, aby się nie oddalać od głównego przedmiotu, to tylko przytoczę, że w kraiach, które nam za przykład co do dobrych kucharek podaią, większe jest rozluźnienie obyczaiów kobiet, niż u nas i tam natomiast kawalerowie trzymaią do usług tak nazwane Stubenmädchen, które pełnią obowiązki lokaiów. Według spisów służących z upłynionego roku w Warszawie lokaiów i markierów 3638, furmanów i stangretów 1294, pachołków i stróżów 4196, kucharzów 414, kamerdynerów 129 — ogółem 9671". Pod koniec powiada nasz publicysta, że jest rzeczą niewłaściwą chcieć, aby rząd zajmował się ulepszeniem kuchni... „Co dla bogactw kraiowych, co dla rządu wyniknąć może, że ktoś lekkie kuplety, pulchne melszpaizy, lub smaczne zaiadać będzie potrawy?" — Założenie szkoły kucharskiej wydaje mu się wprost absurdalnem i uważa, że daleko lepiej byłoby, aby panie nasze same zajęły się kuchnią, a wtedy „lepiey w domu dziać się będzie i córki nasze prędzey za mąż póydą". Widzimy stąd, że aczkolwiek sto lat temu lubiono dobrze zjeść, nie starano się jednak zbytnio o to, aby adepci kunsztu gastronomicznego mogli zdobywać dyplomy zawodowców.

Nie mieliśmy również zawodowych wiertaczy studzien artezyjskich i dlatego też wiadomość, że Andrzej hr. Zamoyski sprowadził w tym celu instruktorów z Francji wywołała w prasie wielkie zainteresowanie.

Ceny zboża w maju (od 10-go do 16-go) wyrażone w złotych za korzec. Jęczmień 3—3,22, pszenica 21—24, żyto 8,15—9,15, groch 8—10, fasola 18—19. „Znaczna ilość zboża daie się widzieć ciągle na targach naszych. Przednie gatunki pszenicy utrzymuią się w cenach, po których były spieniężane na poprzednich targach, pomimo umniejszenia cła w Londynie o 1 szyling na kwaterze".

Rok 1830, jest jak wiadomo, rokiem wyprawy do Algieru, zakończonej zwycięstwem Francuzów. Mało natomiast znanym jest fakt, że już wówczas postanowiono wykorzystać aeronautykę do celów wojennych. Czytamy bowiem, że „pan Margat, żeglarz napowietrzny, będzie należał do wyprawy algierskiej i po wylądowaniu wojska wzniesie się w uwiązanym balonie dla rozpoznania warowni". Mamy więc tu do czynienia z zarodkiem dzisiejszych balonów obserwacyjnych na uwięzi. Na awiatykę patrzy się wówczas oczywiście z pogardliwem wzruszaniem ramion, taksamo zresztą, jak na pierwsze próby kolei żelaznej. Donoszą bowiem z Londynu: „Właściciele powozów naiemnych, wyieżdżających na prowincję, starają się przez szybką iazdę zapobiegać współubieganiu się powozów parowych. Do Birmingham, odległego o 110 mil ang. (1 m. ang. —1609 m.) można zaiechać w ciągu 7 g. 50 m.; trudno przypuścić, aby one mogły bydź prześcignione przez powozy parowe". (pierwszą kolej żelazną w Anglji zbudowano w 1830 r. pomiędzy Manchester a Liverpool).

Jeśli chodzi o warszawskie życie artystyczne, to niewiele mamy do zanotowania, natomiast w paryskim świecie muzycznym stanowi epokę wystawienie opery „Fidelio" Beethoven'a. Występują w niej z wielkiem powodzeniem śpiewaczka Schroeder—Devrient i śpiewak Haitzinger, z wzmiankami o których spotykamy się często w literaturze emigracyjnej.

Na zakończenie przytaczamy **dosłownie**, krótkie ogłoszenie z Nr. 137 (19 maja 1830 r.) „Dziennika Powszechnego Krajowego". **Ostrzeżenie:** Aby nikt nie odważał się wchodzić z Wincentym i Bonawenturą Niemoiowskiemi o moie dobra Słupskie w W. X. Poznańskiem, do których oni nabyli tytułów nieprawnych, i bez grosza waluty, gdyż wkrótce polecona sprawiedliwość rozstrzygnie te nadużycia. Woyc. Psarski.

(Wartoby zaznajomić się dokładnie z istotą sprawy, o której wspomina powyższa wzmianka. Tembardziej dzisiaj w epoce wyciągania z różnych kątów żywych i zmarłych „bronzowników".

Dr. E. Strążyski

Ze świata książek

Wanda Miłaszewska. Cmentarz i sad. Księgarnja Św. Wojciecha. Poznań. 1930. Wydanie drugie.

Twórczość Wandy Miłaszewskiej można bezsprzecznie nazwać słoneczną. Nie żeby w niej było wiele radości i beztroski, ale smutki są właśnie przepojone, jakąś wewnętrzną świątłością, i mają w sobie raczej słodycz cichej melancholji, niż gorycz cierpienia.

Wszelkie pogmatwania dzisiejszej, powojennej psychologji, są Miłaszewskiej najzupełniej obce; jej ludzie chodzą jakiemiś dziwnie prostemi drogami, a zło jest równie bezsporne, jak i dobro. Powojenny czas wydaje się w jej twórczości potrochu fałszywą dekoracją, a prawda leży w duszy ludzi sławnych, którzy się tylko poruszają na tym nowostworzonym dla siebie tle.

Takimi sławnemi ludźmi, są również wszyscy bohaterowie obecnie omawianej powieści Miłaszewskiej p. t. Cmentarz i sad.

Stoją oni na pograniczu dzisiejszości i sławności, dzieląc się na dwa pokolenia, uchodzące i wschodzące, ale łącznik ideowy trwa między niemi niesłychanie silny. Niema tu walki, młodych ze staremi, niema tarć, niema gorzkich rozczarowań: gładko i poprostu młode serce przejmuje. Dobro starych, tak bardzo jest ono bezsprzeczne i oczywiste, że aż... tradycyjne. Ta tradycyjność wierzeń, zda się cokolwiek krępować rozmach autorki, która, jakby obawia się wyjść po za kanony, aby nie trzeba było rozstrzygać jakichś nowopowstałych, a niespodziewanych postulatów. I ludzie są zbudowani wedle niezawodnego postulatu wartości, by się już niepotrzebowali chwiać ni wahać, w swoich wszelkich spraw. Świat tej książki, jest odgrodzony od wszelakiego zła, podłości i brudów, murem groźniejszym niż chiński, murem optymizmu autorki, która wierzy w piękne kryształowe dusze i w ich nieskalaność nawet w zetknięciu ze złem. Zresztą — ludzi z Cmentarza i Sadu — nie można nazwać nierzeczywistymi: istnieją zapewne w starych, szczątkowych dworach, w cichych plebanjach i wogóle w zakątkach, które życie dzisiejsze omija zdaleka. Tylko rzadko są rozsypani po obszarze życia. Autorka zaś zebrała ich nam wszystkich razem i stworzyła książkę pełną pogody i czystości. Wszelkie pogmatwane historje miłosne, blakną wobec pięknego uczucia Olesi i Jerzego, a „najgłębsze" psychologiczne bohaterki wydaje się zbyt sztuczne, wobec prostoty Cesi, która jednak jest najprawdziwszą i wieczystą kobiecością. I dla tego może swoim czarem rozpędziła beznadziejność życia Jerzego i zadzierzgnęła mocne ogniwo, między cmentarzem i księgą umarłych a kwitnącym na wiosnę radosnym sadem.

Z. M.

◆◆◆◆

O wszystkiem potrosze

BOMBY Z FARBĄ NA USŁUGACH POLICJI.

Policja londyńska dokonywuje prób z granatami ręcznemi, mającemi na celu „naznaczanie" samochodów, które nieusłuchawszy rozkazu policjanta zwiększają szybkość i uciekają. Granat taki jest wielkości piłki tennisowej i składa się z cienkiej powłoki blaszanej, wypełnionej jaskrawą, szybko schnącą, kleistą farbą. Policjant rzuca za uciekającym samochodem „granatem", który od uderzenia o ściankę samochodu rozpryskuje się i tworzy widoczną bardzo trudną do zmycia, a do tego brzydko pachnącą plamę. Przechodnie i policjanci spostrzegwszy taką plamę zatrzymują uciekające auto lub przez swe wskazówki znacznie ułatwiają pościg za niem.

RUROCIĄG DO... KAWY.

Powszechnie znane jest zastosowanie rurociągów do wody lub gazu świetlnego w nowoczesnych miastach, technicy naftowi wiedzą również coś nie coś o używaniu rur do transportu ropy naftowej lub gazów ziemnych. Rurociągi naftowe w Stanach Zjednoczonych A. P., czyli tak zwane naftociągi posiadają łączną długość kilkudziesięciu tysięcy kilometrów. Nowością dla wszystkich jest jednak zastosowanie systemu rur do transportu kawy. W Wenecueli kawa uprawiana jest na wyżynach leżących na uboczu od wszelkich dróg komunikacyjnych. Po zbiorach owocki kawy, przypominające nieco swym zewnętrznym wyglądem nasze wiśnie, wysyła się do portów nadmorskich zapomocą rur dosięgających 10 km długości; prowadzą one niejednokrotnie nad głębokiemi wąwozami i przepaściami i dostarczają kawę na miejsce ładowania na okręty w ciągu 40 minut, podczas gdy przesyłanie kawy na plecach jucznych zwierząt trwało na tej samej przestrzeni przeszło pół dnia. Górny koniec rury zakończony jest dużym lejem metalowym, do którego wsypuje się owocki kawy; silny prąd wody przepływającej pod lejem porywa kawę i niesie ją ku dolinom własnym ciężarem. Przy końcu rury znajduje się drugi lej z sitem; wlewająca się doń woda pozostawia na siatce owocki kawy, które po wysuszeniu i pozbawieniu łupiny ładują w worki i wysyłają do Europy lub Ameryki Północnej.

SKĄD BIERZE SIĘ BŁOTO NA ASFALTOWYCH JEZDNIACH

Asfaltowe jezdnie pokrywają się podczas deszczu lub przy polewaniu ulic warstewką błota, stanowiącego znaczne niebezpieczeństwo dla ślizgających się po nim samochodów. Badania składu chemicznego tego błota wykazały, że bierze się ono z pyłu gumowego, który powstaje wskutek tarcia opon samochodowych o asfalt. Szczególnie na jezdniach rzadko polewanych, np. amerykańskich szosach samochodowych, gromadzi się w czasie suszy znaczna ilość tego pyłu, przyczem udało się stwierdzić, że podczas bardzo gorącej lub bardzo zimnej pogody opony ścierają się więcej niż zwykle. Stąd powstaje konieczność dostosowywania składu chemicznego opon samochodowych do pór roku i niedługo już pewnie pojawią się w gazetach szumne reklamy o letnich i zimowych „modelach" gum do samochodów.

◆◆◆◆

Pisma nadesłane

DZWON, czasopismo uczn. Państw. Sem. Naucz. w Solcu n Wisłą. Nr. 2 (9) Marzec, Kwiecień 1930 r. (R. 4).

Pismo „Dzwon" może być wzorem dla wszystkich czasopism szkolnych. Niema w niem tej ulubionej uczniowskiej manjery pisania po dyletancku o sprawach poważnych. „Dzwon" wyrasta wprost z życia szkolnego — oto jego największa zaleta.

Począwszy od „Kroniki Samorządowej", kończąc na „Echach z Dorocznego Balu" — wszystko tu jest proste, miłe i przeczytania godne.

Na wyróżnienie zasługuje serdecznie napisany artykuł wstępny („19-go Marca") poświęcony Pierwszemu Marszałkowi Polski.

Z prawdziwą przyjemnością zwracamy uwagę na piękne i wielką rokujące przyszłość wiersze redaktora „Dzwonu" p. Antoniego Piotrowskiego. Zwłaszcza wiersz „Żegnaj" wzbudza w nas przekonanie, że z nazwiskiem p. Piotrowskiego spotkamy się jeszcze nie raz i to na szerszej arenie.

W ŚREDNIEJ SZKOLE HANDLOWEJ, czasopismo uczn. i uczennic trzy klas. koed. szkoły handlowej F. Świderskiego w Stryju. Nr. 2 (13, 14), Marzec, kwiecień (R. 3).

Jest to pismo prawie wyłącznie fachowe, to znaczny poświęcone przedmiotom handlowym w szkolnem tych przedmiotów rozumieniu. Niemniej jednak pismo jest interesujące i na wysoki wydźwignięte poziom.

Znajdujemy w niem przegląd wszystkich wydarzeń ekonomicznych współczesnego życia polskiego (Dziesięciolecie odzyskania dostępu do morza, traktat handlowy z Niemcami i t. d.).

Dobrym obrazem bujnie rozwijającego się życia szkolnego jest „Kronika".

Zwracamy uwagę na wyjątkowo niską cenę pisma, drukowanego na pięknym papierze (20 gr.!).

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

Wiosna

I

Nadeszła wiosna — nadszedł czas,
Że zima z mrozem uszły wraz...
Uszły daleko, uszły hen —
Poza widnokrąg siny ten.

Nadeszła wiosna — pora już
Powitać z pługiem blaski zórz,
Powitać z broną słońca wschód...
Witać skrowronka śpieszy lud.

„Nadeszła wiosna!" — śpiewa tak
Wiosny maleńki, szary ptak;
Jemu jedynie wierzy człek,
Choć już bociana słyszał klek.

Nadeszła wiosna — w polu lud
Zaczął swój zwykły, dzienny trud;
Widać sukmany, chustek rój —
Chłopek swój błogi zaczął znój.

II

Wiosna! Już wiosna — nadszedł maj,
Zieleni się przepięknie gaj...
Zieleni się i brzmi codzień
Tysiącem ptasich, cudnych pień.

Wiosna! Już wiosna — zapadł zmierzch,
Ostatni promyk słońca pierzchł;
Cicho, spokojnie — w gaju chłód,
Tędy po pracy wraca lud.

Wiosna! Już wiosna — żaden wiew
Nie kłóci tu słowika śpiew;
Słowik się modli... modły swe
Samemu Stwórcy słowik śle.

„Wiosna! Już wiosna — dobry Bóg"...
Garnie się chłopek w Pański próg;
Widać sukmany, chustek rój —
Chłopek za swój dziękuje znój.

Harry Kolbow

ODPOWIEDZI DZIAŁU LITERACKIEGO.

P. Marjan Binkowski, Ołtarzew.

Nie możemy panu odmówić dużej swobody w pisaniu i nawet pewnej kultury poetyckiej. Wiersz jest napisany płynnie, co już jest wielką zaletą.

Natomiast duże zastrzeżenia budzi w nas treść, którą ubiera pan w najbardziej banalne i wyświechtane zwroty. Możnaby nieledwie zgadywać rymy, tak bardzo są pospolite. „Słodki czar" musi iść zawsze ze „spojrzeń żarem", „chabru kwiat" z „Bożym światem", „ból i jad" z „zaklętym (?) gadem". Nie rozumiemy tylko, dlaczego do wyrażenia: „z uczuć płyną burz" dobrał pan neologizm „jako polny róż(?)". Słowa tego nie znamy.

Zadużo jest w pańskim wierszu owych „warg korali", „wstęg myśli", „trosk codziennych wężowatych zwojów", „tęsknot nieprzespanych snów".

Wiersz jest w czytaniu przyjemny. Czytelnik lubi jednak wniknąć w treść czytanego utworu. Po pańskim wierszu nie doszedłby do optymistycznych na temat autora wniosków.

Niech pan nam przyśle coś mniej osobistego i z większą napisanego prostotą.

Ostatnie wiadomości sportowe

LEKKA ATLETYKA.

W meczu Warszawianka — Legja, wygrała pierwsza w stosunku 73 : 57.

Królewska Huta — Katowice 85 : 64.

W projektowanym meczu na 25 b. m. w Poznaniu między Wartą i Warszawianką, weźmie udział znany biegacz czechosłowacki Kościak, biegnąc z Petkiewiczem na 3 km.

W dniach 14 i 15 czerwca odbędą się w Warszawie zawody międzynarodowe z okazji 10-cio lecia Pol. Zw. Lekko-atletycznego. W zawodach tych będą brali udział zawodnicy siedmiu państw europejskich.

PIŁKA NOŻNA.

Obecny stan tabeli ligowej przedstawia się następująco:

1.	Cracovia	gier	6
2.	Wisła	„	6
3.	Ł. K. S.	„	5
4.	Warta	„	6
5.	Legja	„	3
6.	Pogoń	„	4
7.	Ł. T. S. G.	„	5
8.	Polonia	„	7
9.	Ruch	„	5
10.	Garbarnia	„	6
11.	Czarni	„	4
12.	Warszawianka	„	7

GRY SPORTOWE.

W niedzielę dnia 25 b. m. odbędzie się mecz międzymiastowy w koszykówce Lublin—Warszawa w Warszawie.

W krótkim czasie dobiegną końca rozgrywki o mistrzostwo W. O. Z. G. S. w siatkówce panów. Mecz A. Z. S. — Y. M. C. A. będzie decydował o mistrzostwie. Kobiecy A. Z. S. prowadzi w siatkówce, koszykówce i hazenie pewnie.

W W. O. Z. G. S. daje się odczuwać niezwykły brak sędziów, naturalnie dobrych. A tych jest doprawdy trzech lub czterech.

HIPPIKA.

Trójmecz Francja—Italja—Polska zostanie rozegrany dn. 29 V.—2 VI. na stadjonie w Łazienkach.

TENNIS.

Przyjazd Bovotry na czerwiec do Polski nie jest kaczką dziennikarską a pewną wiadomością. Nasza przegrana z Anglją, zresztą przewidywana, wskazuje na ciągle jeszcze zbyt małe spopularyzowanie tego sportu w Polsce.

BOKS.

Obóz treningowy w Poznaniu rozpoczął się już 19 b. m.

Dział rozrywek umysłowych

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

Pierwsze litery poniższych wyrazów, czytane z góry ku dołowi, dadzą nazwę najwspanialszego pomnika polskiej pracy.

1. — — — — — —
2. — — — — — —
3. — — — — — — — — — — —
4. — — — — — —
5. — — — — — — —
6. — — — — — —

7. — — — — —
8. — — — — — — —
9. — — — — — — —
10. — — — — —

11. — — — — —
12. — — — — — — —
13. — — — — — —
14. — — — — — — — —
15. — — — — — —
16. — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. największy port na Bałtyku, 2. port w Afryce Południowej, 3. prawy dopływ rzeki Missouri, 4. miasto we Włoszech, 5. największa rzeka w Birmie, 6. półwysep w Ameryce Północnej, 7. państwo w Azji, 8. rzeka w Ameryce Połudnowej, 9. państwo w Europie, 10. kraina górska w Azji, 11. słynne miasto w Europie, 12. jezioro w Ameryce Północnej, 13. miasto wojewódzkie w Polsce, 14. wyspa na morzu Śródziemnem, 15. kraina górzysta na granicy Europy i Azji, 16. miasto na Syberji.

BILETY WIZYTOWE.

z podanych nazwisk określić zawód.

W. E. Nabocki

M. Trzepalski

Ł. Kunowski

Termin nadsyłania rozwiązań z bieżącego numeru upływa 20 czerwca.

Na kopercie obok adresu dopisywać należy „Rozrywki umysłowe".
Nagroda będzie rozlosowana między nadsyłających odpowiedzi.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NUMERU 7.

REBUSIK LITEROWY.

Litera -t

ŁAMIGŁÓWKI.

Ojciec ma lat 63 — syn 35.

$$\frac{999}{999} + 999 = 1000$$

KRZYŻÓWKA.

Znaczenie wyrazów.

Poziome: 2. bat, 4. Labrador, 6. Aron, 8. re, 9. wn, 10. Auge, 13. wam (wspak), 16b łeb, 18. ba, 20. okap, 21. rak (wspak), 22 Po (wspak), 23.cu, 25. Ikar, 8 oda (wspak), 29. odacy (wspak), 31. rodak, 32. Mickiewicz, 33. Ra, 34. matura, 36. ira (wspak), 37. oko, 39. na (wspak), 42. lupa (wspak), 43. ul.

Pionowe: 1. erg, 3. Ob, 5. tur, 7. nora, 9. wróbel, 11. mam, 15. małpa, 16. Puławski, 16b. łgać, 17. Iran, 18. Bem, 19. em, 24. kacapy (wspak), 25. iły, 26. ruda, 27. po (wspak), 30. cud (wspak), 31 war (wspak), 35. twarz, 37. ona, 38. kokietka, 40. lotnik, 41. pt, 43. Ukraina.

UKŁADANKI SZARADOWE.

Miasta: Warszawa, Katowice.

Z pośród rozwiązań zadań z numeru 7 wylosowano do nagrody rozwiązanie p. Ireny Czajkowskiej z Państwowego Seminarjum Żeńskiego w Zgierzu. W nagrodę otrzymuje „Serce lodów". — Ferdynanda Goetla.

HUMOR LOTNICZY



— Nie rozumiem co to za przyjemność jeździć samochodem?

„STERNIK" WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Sekretarz red. M. Ochorowicz **Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.**

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓŁDRUK", Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.